Nr. 6. Lwów — Niedziela dnia 9 Stycznia. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o zgubionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

# PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Na zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy

Dziś: B. 1 po 3 Król. N. po Rożd. | Jutro: św. Pawła Pust. SS. Mładanciw | Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.* | Wschód słońca o 7 m. 57, Zachód „ „ 4 „ 19 | Długość dnia g. 8 m. 22, Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

## Przegląd polityczny.

Lwów 8 stycznia.

Ciekawe pogłoski i rozprawy wywołał pobyt ks. arcybiskupa Stablewskiego w Berlinie, chociaż ten dostojnik wcale do nich osobiście się nie przyczynił. Jeszcze przed jego przyjazdem do stolicy była już nad Sprewą, w kołach hakatystycznych, niepewność co do przyszłej postawy rządu względem Polaków; mówiono o jakiejś zmianie „kursu“; odwoływano poprzednie doniesienia o antipolskich projektach, z którymi ministeryum miało wystąpić przed sejmem, nikt nie wiedział, jakie są zamiary rządu; — i oto w takiej chwili przybył ksiądz arcybiskup do Berlina; jest tedy dość naturalne, że jego przyjazd skojarzono z domniemanym „najnowszym kursem“, któremu w bujnej wyobraźni dano nawet określone kształty. Z telegramu wiedzą czytelnicy, że ks. arcybiskup był u cesarza na śniadaniu — i oto ta okoliczność popchnęła myśl hakatystów w pewnym, nieprzyjemnym dla nich kierunku. Ks. Stablewski przyjechał do stolicy późnym wieczorem, na drugi dzień udał się koleją do Wildparku, gdzie czekał nań powóz dworski; przybywszy do Poczdamu, zaraz był na prywatnej audyencyi u cesarza, a następnie na śniadaniu, do którego oprócz monarchy i jego gościa zasiedli: następca tronu, jego brat ks. Eitel, książęta Antoni i Bogusław Radziwiłłowie i jeszcze kilku najwyższych dygnitarzy dworu. Cesarz posadził przy sobie z prawej strony ks. arcybiskupa, z lewej Antoniego Radziwiłła i z nimi tylko przez cały czas rozmawiał o jubileuszu św. Wojciecha, o archikatedrze gnieźnieńskiej, o początkach chrześcijaństwa w Wielkopolsce i t. d. Z tego widać, że cesarz, jako gospodarz uprzejmy, poruszał tematy miłe jego gościom, ale hakatystom wydało się to pełnem politycznego znaczenia. Najpierw tedy orzekli, że było to oczywiście „polskie śniadanie“, następnie zaś zaczęli dociekać, co ono oznacza? Prostego wyjaśnienia nie chcieli przyjąć. Kiedy z Kilonii odpływał do Chin książe Henryk, a cesarz żegnał go uroczyście, ks. Stablewski wysłał do monarchy telegram bardzo serdeczny, w którym życzył książęciu szczęśliwej wyprawy i dodał, że z całem duchowieństwem zanosi modły do Pana Zastępów o pomyślny skutek dzieła, przedsięwziętego w obronie chrześcijan. Cesarz natychmiast podziękował telegramem również serdecznym a wróciwszy do Berlina, przy sposobności zaprosił do siebie ks. arcybiskupa. Jednak, jakeśmy rzekli, takiego wytłómaczenia „polskiego śniadania“ nie przyjęli hakatyści, ponieważ także inni katoliccy biskupi wysłali do Kilonii telegramy treści takiej samej, jak depesza ks. Stablewskiego, a jednak cesarz nie zaprosił ich na śniadanie. Nie przyszło im do głowy, że Wilhelm II już nieraz zapraszał owych biskupów i może jeszcze zaprosić. Byli już tak nastrojeni ci hakatyści, że woleli umieścić owo śniadanie na przełomie stosunków państwa pruskiego do Polaków. Ku wieczorowi kursowała już po Berlinie pogłoska, że szczera niemczyzna weźmie w łeb w Wielkopolsce, kraj ten będzie niejako wyszczególniony z pomiędzy innych prowincyj, bo otrzyma — jak Alzacya z Lotaryngią — namiestnika, a zostanie nim jeden z książąt krwi królewskiej, zatem osobistość, z którą — wedle każdej dynastycznej tradycyi — nie może się łączyć polityka przykra dla kraju. Na drugi dzień wszystkie dzienniki wystąpiły z artykułami o „polskiem śniadaniu“ i o „kwestyi polskiej“. Publicyści zapragnęli rozwiązać wymyśloną przez siebie zagadkę: o co chodzi: czy o głosy Polaków i sprzyjającego im centrum w sprawie kredytów na marynarkę, czy też może zacznie się między trzema cesarstwami licytacya in plus o sympatye polskie? Nieraz wskazywaliśmy na to, że ogromna większość publicystów rosyjskich i niemieckich zupełnie nie rozumie polskiej myśli i polskiego wyobrażenia o przyszłości i oto mamy znów dowód tego nierozumienia, bo według naszego widzenia rzeczy, nie może być żadnej licytacyi o nasze uczucia, my go nie mamy na sprzedaż; jak pancerzem, okryci jesteśmy prawnopolitycznym stanem i domagamy się tylko sprawiedliwości, tylko chrześcijańskiego postępowania z nami. Ale wypaczone sumienie hakatystów i ich naśladowców rosyjskich nie może tego pojąć, co zresztą zrozumiałe, bo każdy sądzi bliźnich podług siebie, a hakatyści junkierscy i liberalni już nieraz udowodnili czynami, że z legalnego gruntu nie schodzą tylko wtedy, gdy wytrwać na nim jest dla nich korzystne.

Obawa, aby nie nastąpiła zmiana „kursu“ w Wielkopolsce, ogarnęła naszych najserdeczniejszych. Wnet zaczęli oni dowodzić, że wszelkie uchylenie się od istniejącego kierunku wywoła w Niemczech powszechny protest — tak powszechny, że nawet socyaliści przyłączą się do niego. I tu na dowód przytoczyły dzienniki berlińskie fakt rzeczywiście ciekawy, nieobojętny i dla nas. Możemy być zadowoleni, że trwoga hakatystów wydobyła ów fakt na światło dzienne, bo z niego jeszcze raz poznajemy socyalistów. Na Szlązku Górnym, w Prądniku odbyło się zgromadzenie socyalistyczne, na którem „towarzysze“ niemieccy uderzyli na polskich, zarzucając im jakieś narodowe skłonności. Socyalista Winter postawił rezolucyę: „Zgromadzenie potępia dążność do utworzenia odrębnej partyi polsko socyalistycznej, ponieważ ona może się stać bardziej polską niż socyalistyczną, a w każdym razie byłaby narodową, a więc nieuznawaną przez socyalizm, który wprawdzie nie uwzględnia różnic narodowych, ale w Niemczech z praktycznych względów powinien być niemieckim“. Towarzysz Pfannkuch począł wyszydzać Polaków, odzywał się o nich wyrazami bardzo obelżywymi i zażądał uchwały, iż wszyscy socyaliści w Niemczech uznają się za Niemców. Towarzysze polscy Merkowski, Morawski i Grzywiecki oświadczyli, że wprawdzie agitują po polsku, ale to jedynie dlatego, że to jest praktyczniej, uważają się zaś za międzynarodowych socyalistów, wszelką myśl o Polsce nazywają śmieszną, Polaków marzących o narodowem istnieniu mają za obranych z rozumu, a naród polski jest, ich zdaniem, przepadły, nieistniejący, którego zatem socyalna demokracya nie może uwzględniać w swojej organizacyi. Potem na zgromadzeniu w Prądniku uchwalono, że polskie prowincye w Prusach były wprawdzie polskiemi, ale już są i muszą na wieki być niemieckiemi. Głosowali za tem i socyaliści z nazwiskami polskimi.

Ten wymowny przyczynek do studyów nad naszym socyalizmem polecamy uwadze orszaku panów Daszyńskiego i Kozakiewicza. W Berlinie posłużył on hakatystom za dowód, że wszyscy zgoła Niemcy, bo nawet „vaterlandslose Gesellen“ są za germanizacyą Wielkopolski. Dziennikarska wrzawa zmusiła wreszcie półurzędową *Norddeutsche Allg. Ztg.* do oświadczenia, że ministeryum już zatwierdziło projekt powiększenia funduszu komisyi kolonizacyjnej o nowe sto milionów marek. Wedle tej gazety, rząd nie chce tępić języka polskiego, jeno chce popierać znajomość niemieckiego; dąży do zrobienia z Polaków dobrych obywateli państwa pruskiego; musi specyalnie opiekować się Niemcami, ponieważ Polacy odwracają się od nich, tworzą odrębne stowarzyszenia i kółka towarzyskie, zmierzając w ten sposób, jeżeli nie do odbudowania Polski, to przynajmniej do wywalczenia Wielkopolsce takich stosunków, jakie są w Galicyi. Temu wszystkiemu ma zapobiedz nowy kredyt na kolonizacyę! Aż dziwno, że organ półurzędowy mógł podać takie niedorzeczne argumenta. Wszakże rzecz jest bardzo jasna: trzeba karmić wielu głodnych zbankrutowanych junkrów, którym dano posady przy komisyi kolonizacyjnej, a więc trzeba ją podtrzymywać nawet wbrew interesom państwa. Przytem włożono blisko 80 milionów marek w kolonie, sprowadzono prawie 2 tysiące Niemców — i wszystko to się zmarnuje, rozbiegnie, albo spolszczy, jeżeliby komisya była zwinięta. Więc trzeba ją podtrzymywać, skoro się nie ma odwagi powiedzieć otwarcie, że się popełniło rzecz złą i w dodatku zupełnie chybioną.

Naturalnie nie ma sensu pogłoska o namiestniku z domu królewskiego dla Wielkopolski, czy tylko dla Poznańskiego; na nowy „kurs“, na sprawiedliwość w rządach jeszcze nie czas w Prusach; jedno tylko jedno wyjaśniła teraźniejsza wrzawa w dziennikach berlińskich, to mianowicie, że kolonizacya otrzyma drugie sto milionów.

## Wezwanie do posłów sejmowych.

Ilekroć kandydat do godności poselskiej staje przed wyborcami w kuryi mniejszych posiadłości lub miast, z reguły przyrzeka, że głównem jego staraniem będzie w razie otrzymania mandatu dążyć do zmniejszenia ciężarów publicznych, a więc podatków i dodatków do podatków. Przyrzeczenia takie są dla każdego kandydata najlepszą rekomendacyą, czyż może bowiem być cośkolwiek ponętniejszego dla biednej ludności kraju naszego, jak ulżenie ciężarów, pod którymi ona się już ugina? Wyborcy wierzą więc przyrzeczeniom kandydata i powierzają mu mandat.

Natomiast ilekroć który z nich zostanie wybrany i wejdzie czy to do Sejmu, czy to do Rady państwa, zaraz występuje z wnioskami, które, w razie ich przyjęcia, muszą pociągnąć za sobą podwyższenie podatków. Ten domaga się budowy kolei, ów gościńca murowanego, trzeci założenia szkoły, czwarty takiej lub owakiej reformy, a na to wszystko potrzeba pieniędzy, których dostarczyć musi ludność. Każda bowiem reforma, jakiej dokonano w dziewiętnastem s uleciu, odkąd powstało dzisiejsze biurokratyczne państwo, miała na celu głównie powiększenie biurokracyi. Mamy żywy a bolesny dowód tego na reformach wprowadzonych w ostatnich latach. Reforma wyborcza wymagała znacznego zwiększenia personalu władz zarówno rządowych jak i miejskich i pochłonęła setki tysięcy na rozmaite druki i formularze; reforma podatkowa na razie odbiła się ogromnym wzrostem armii urzędników skarbowych; reorganizacya kolei państwowych, jakkolwiek przedsięwzięta w interesie „uproszczenia“ manipulacyi, w rezultacie obciążyła na zawsze ludność płacącą podatki o milionowe sumy corocznie.

Wydzielono bowiem agendy kolejowe z ministeryum handlu i utworzono nowe ministeryum o kilkunastu departamentach, to znaczy, że przybyło kilkuset urzędników i odpowiedni liczba niższej służby, a i tego jeszcze za mało, bo oto ostatnimi dniami właśnie wyłonił się projekt utworzenia nowej instancyi biurokratycznej, mającej pośredniczyć między dyrekcyami ruchu a ministerstwem. I ta zamierzona reforma ma na celu „uproszczenie“ manipulacyi, a „uproszczenie“ to polegać będzie znów na utworzeniu instytucyi zatrudniającej kilkuset urzędników i służby i obciąży budżet o bardzo znaczną kwotę. I tak ma się rzecz ze wszystkiem; jakakolwiek inicyatywa wyjdzie, każda odbić się musi o kieszeń ludności płacącej podatki. A kraj nasz tak biedny, że aż lęk bierze spojrzeć w przyszłość i pomyśleć co począć. Mimo to jednak nikt nie pomyśli o tem, żeby mu ulżyć, tylko przeciwnie nowe ciężary grożą mu zewsząd. Oto trzy dni dotychczas trwał wszystkiego Sejm, a już zgłoszono wnioski tego rodzaju, że w razie ich przyjęcia, ciężar dodatków do podatków musiałby wzróść co najmniej o 2 centy.

Demokratyczna lewica wystąpiła z wnioskiem o reformę wyborczą i stworzenie piątej kuryi przy wyborach sejmowych, p. Wachnianin zażądał 100 000 zł. na zakładanie kas Reifeisenowskich, a p. Barwiński utworzenia gimnazyum ruskiego w Tarnopolu i zaprowadzenia obowiązkowej nauki języka ruskiego i polskiego we wszystkich szkołach w Galicyi, a więc kreowania nowych kilkudziesięciu posad nauczycielskich. Jeżeli w tem tempie dalej pójdzie, to do końca sesyi sejmowej namnoży się chyba tyle wniosków, że chcąc zadowolnić wszystkich wnioskodawców, należałoby podwoić, a może i potroić budżet krajowy. Owóż posłowie powinni przecież zastanowić się nad tem, czy dalsze obciążanie budżetu krajowego jest czynem patryotycznym i ekonomicznie rozumnym. Być może, że występowanie z tego rodzaju popularnymi wnioskami dogadza ich ambicyi, ale to ich nie usprawiedliwia. Siła podatkowa ludności jest u nas wyczerpana i raczej należałoby pomyśleć o tem, aby ją wzmocnić przez obniżenie ciężarów publicznych. Dla tego też każdy wniosek, zmierzający do nowego obciążenia ludności, musi tylko wzbudzać niechęć do systemu parlamentarnego i nienawiść do posła, stawiającego taki wniosek, to też nazwisko takiego posła winno być zapisane na czarnej tablicy. Dzisiejsze ciężary są — można powiedzieć — więcej niż maksymalne, w ich ramach należy prowadzić oszczędną i to bardzo oszczędną gospodarkę, nowych nakładać nie wolno.

## Co i o czem piszą.

Wniosek posła dra Barwińskiego w Sejmie o założenie gimnazyum ruskiego w Tarnopolu, dał ks. Stanisławowi Gromnickiemu, dziekanowi czortkowskiemu i stanisławowskiemu asumpt, do napisania bardzo rozsądnego listu do *Gazety Narodowej*. Lud nasz zdaniem autora trzyma się maksymy: *prius est vivere deinde philosophari* (najprzód żyć trzeba, a potem dopiero filozofować). Tymczasem nasi posłowie trzymają się zasady, że trzeba przedewszystkiem tworzyć uczonych, więc nie dążą do zmniejszenia podatków, ale do mnożenia szkół.

Żywym przykładem na to jest też i najnowszy wniosek posła Barwińskiego. W zasadzie godząc się na równouprawnienie obu narodowości, wykazuje ks. Gromnicki złe strony tego wniosku. Oto co pisze:

Do czegoż bowiem dojdziemy krocząc tą drogą? Wszak mamy już ruskie gimnazya we Lwowie, Przemyślu i Kołomyi, w tej ostatniej miejscowości widocznie przeforsowane, bo chociaż utworzono gimnazyum ruskie, mimo to tak wielu uczniów gr. kat. obrz. uczęszcza do gimnazyum polskiego, że musi być dla nich przy tem gimnazyum osobny gr. kat. katecheta ustanowiony. Dla czegoż ci uczniowie, skoro mogą, nie zapisują się do gimnazyum ruskiego? widocznie nie odczuwają tej potrzeby. Idąc tak dalej, nietylko w Tarnopolu, jak poseł Barwiński proponuje, ale z biegiem czasu w Stryju i Samborze, Drohobyczu i Brodach, Brzeżanach, Buczaczu etc., musiałyby powstać gimnazya z ruskim językiem wykładowym. Któż wówczas zapłaci koszta stąd wynikające, a koszta tak olbrzymie? Wszak każdy budynek gimnazyalny kosztuje co najmniej sto tysięcy a płaca nauczycieli i utrzymanie gmachu rocznie około 50.000. Niechby poseł Barwiński przypatrzył się, jak z chat włościańskich i mieszczańskich zabiera sekwestrator poduszki, kożuchy itd., niechby obaczył setki dzieci w naszym kraju, w stroju prawie adamowym, niech by się przysłuchał żalom ludu ruskiego, a pewnie cofnął by postawiony wniosek.

„Czy idzie tu może o obronę Rusi od spolszczenia w szkołach“ — zapytuje następnie ks. Gromnicki i odpowiada na to następującym doskonałym argumentem:

My chcemy żyć razem obok siebie poczciwie — nam chodzi o chleb powszedni. A zresztą, mój Boże! iluż to Rusinów, dziś jeszcze żyjących ruskich księży, uczyło się w Tarnopolu pod Jezuitami, a Jezuici ich nie spolonizowali; iluż Polaków, jak ś. p. arcybiskup Baraniecki, ś. p. Agenor hr. Gołuchowski, ś. p. Kornel Ujejski, dzisiejszy arcybiskup Morawski uczyli się u OO. Bazylianów w Buczaczu i katechetę mieli Bazylianina, a Bazylianie ich nie zruszczyli. I w dzisiejszych czasach uczą się Rusini w gimnazyach polskich, Polacy w ruskich, a mimo to pozostaje każdy w swoim obrządku i języka swego zapominać nie potrzebuje. Nikt też dawniej u nas nie słyszał o osobnej bursie polskiej a osobnej ruskiej — nikt nie słyszał o osobnych polskich i ruskich gimnazyach — czasy to najnowsze a wcale nie dobre, uczyniły rozdział między dziećmi jednej matki — Ojczyzny!

Wykazawszy następnie, że wniosek posła Barwińskiego nie da się w żaden sposób wyprowadzić z dewizy *viribus unitis* ale że przeciwnie jako wynik niezgody prowadzić może tylko do ruiny tej chaty, w której dotychczas żyły „pod jednym dachem“ obie narodowości, tak kończy ks. Gromnicki:

Niechby poseł Barwiński zwołał owych włościan, którzy go wybrali i zapytał ich, czy chcą mieć nowe gimnazyum ruskie w Tarnopolu? Być może, że w pierwszej chwili na to się zgodzą; ale gdy im wyjaśnić zechce i tak szczerze powie, że wskutek tego nowe na nich spadną ciężary — gdy im powie „zapłatysz Hryciu, zapłatysz Iwane, zapłatyte wsi chrestiane“ — wówczas przekona się, że otrzyma od tego ludu *votum* nieufności, że go ten lud obrzuci przekleństwami.

Bądź co bądź, sprawa ta obchodzi kraj cały i głęboko sięga do naszej kieszeni; raczą przeto posłowie nasi sejmowi wniosek posła Barwińskiego oceniać nie samem sercem, ale i rozumem!

Pod tytułem „Jeden z naszych grzeszków“ znajdujemy w *Słowie Polskiem* artykuł, który jest przyczynkiem do litanii naszych błędów narodowych, jakich namnożyło się u nas wiele w ostatnich czasach na niekorzyść naszych zalet tradycyjnych. Otoco czytamy we wzmiankowanym artykule:

Najbardziej rozpowszechnionym wśród nas grzechem, z którego nader łatwo sami się rozgrzeszamy, jest — niesłowność.

— To trudno, nie mogłem mimo chęci! — oto frazes wielce utarty, który obija się ciągle o nasze uszy i służy jednocześnie za usprawiedliwienie samego siebie. Frazes ten tak często słyszymy, że bierzemy go i sami za zdawkową monetę i szafujemy nim hojnie nawet wtedy, gdy dotrzymanie słowa lub obietnicy nie wymagało ani fatygi, ani trudu, lecz jedynie odrobiny pamięci.

Potem przechodzi autor artykułu kwestyę, jak cenione dawniej u nas słowo honoru poszło w poniewierkę a tradycyjne *verbum nobile debet esse stabile* stało się już niemal mytem. Wskazawszy następnie, jak ten zanik tego poczucia obowiązku stwarza konieczne trudności w stosunkach towarzyskich, przechodzi do najważniejszej części, gdzie dowodzi jak niesłowność mści się na nas już teraz najdotkliwiej, bo materyalnie.

Można to zauważyć nietylko w stosunkach towarzyskich, lecz i w różnostronnych czynnościach naszego organizmu społecznego: w przemyśle, handlu, w instytucyach publicznych. I tu praktykuje się system „niespełnionych obietnic“; i tu co innego się mówi, a co innego myśli i czyni. Niesłowność rozpanoszyła się wszędzie, podkopując zaufanie w nasz przemysł, dobroczynność, we wszelkie nasze tak zwane „dobre chęci“, „dobre zamiary“. Brakuje bowiem wytrwałości i sumienności w ich wykonaniu, brakuje dobrej woli i chęci w spełnieniu tego, co się obiecuje. Nic dziwnego przeto, że nasze instytucye dobroczynne nie cieszą się zaufaniem ogółu w tym stopniu, jakby być powinno: nic dziwnego również, że nasz przemysł zamiast zyskiwać nowe pole zbytu, traci targi już wyrobione, a traci skutkiem niesłowności swych przedstawicieli w spełnianiu zobowiązań; nic dziwnego także, że nasz handel kuleje oddawna i rozwinąć się nie może, gdyż nie dostaje mu dźwigni najsilniejszej, jaką jest kredyt, ten bowiem został podkopany, również wskutek przejawiającej się coraz częściej niesłowności.

Słusznie też kończy się artykuł słowami:

Wszystko to świadczy, niestety, że weszliśmy w okres skarłowaciałej moralności i żyjemy w atmosferze...

---

47)

# PO ZWYCIĘSTWIE

POWIEŚĆ

przez

IRENĘ MROZOWICKĄ.

(Ciąg dalszy).

Taniec uspokoił trochę jego wzburzone nerwy; Stefa nie krępowała go i nie onieśmielała tak, jak Ewa, więc rozmawiał z nią i po tańcu stojąc za jej krzesłem, napozór dość swobodny, choć w gruncie nie zawsze wiedzący nawet dobrze o czem mówi. Coś dziwnego działo się z nim tego wieczoru — doznawał wrażenia, że w jego duszy coś się przetwarza, rujnuje i buduje na nowo. Chwilami robiło mu się straszliwie źle i smutno, chwilami znowu doznawał takiego olśnienia, jakby szczęście samo zrywało się skądś, może z głębi jego własnego serca i szło ku niemu. — Ale wszystko to odczuwał tylko bezwiednie; zastanowić się nad tem, próbować coś zrozumieć nie miał czasu, bo rozmawiał ze Stefą, a patrzył jak Ewcia z coraz to innym panem przesuwała się w tańcu po salonie. To dziwne, jak oni odrazu trafili do niej, choć siedziała taka drobna i cicha, prawie schowana za krzesłem Stefy — Zygmunt przysiągłby, że wszyscy tańczą już tylko z tą błękitną sukienką, która jemu wydawała się jakimś niepochwytnym, z innych światów przywianym obłokiem. Choć patrzył na nią nieustannie, ani raz już nie poprosił jej do tańca, a raz jeden tylko, gdy mu się wydało, że powracając na swoje miejsce po tańcu spojrzała na niego, zdecydował się rzucić jej krótkie pytanie: Czy dobrze się pani bawi dzisiaj?

— Doskonale! — odparła głosem więcej ożywionym niż zwykle, a na niego ta odpowiedź i żywy rumieniec, który jej towarzyszył, podziałały tak jak strumień lodowatej wody. — Doskonale, oczywiście — jakże mogło nie bawić się doskonale to dziecko, stworzone do zabawy, tańca, do miłych słów i pełnych życzliwości a nieraz i gorącego zachwytu spojrzeń, z jakiemi wszyscy garnęli się do niej. Bawiła się pewnie tak, jak się bawi kwiat, gdy na niego padną pierwsze promienie majowego słońca.

A jednak, gdy w chwilę potem Zygmunt wezwany przez gospodarza odszedł na kieliszek wina, Ewcia podniosła na starszą siostrę oczy już nie rozjaśnione radością, ale bardzo ciemno-fiołkowe i prawie wilgotne.

— O Stefuś, jeżeli wszystkie bale podobne są do tego, to mię nie bierz nigdy na żaden — nie chcę już póki życia być na balu.

— Nie bawisz się? — zagadnęła Stefa bez zdziwienia, bo jej samej ten gwarny, wypełniony blaskiem świateł i dźwiękami muzyki salon wydawał się taki pusty i szary, że nie dziwiła się wcale, jeżeli komu było w nim obco i nieswojo. Nie rozumiała sama, gdzie znikła ta radość i upojenie z jaką przed paru godzinami wchodziła tu, wsparta na ramieniu Zygmunta; bal przecież nie przyniósł jej żadnego rozczarowania; drażliwa jej duma nie spotkała się tu z najmniejszem ukłuciem; wszyscy byli dla niej grzeczni a dla Ewy nawet uprzedzający — jawne powodzenie, jakiego doznawała jej śliczna siostrzyczka, musiało pochlebiać macierzyńskiemu prawie jej uczuciu; ona sama także tańczyła dość, w przerwach rozmawiała z Zygmuntem, który prawie nie odstępował od jej krzesła, a jednak... coś jakby zgubiła w ciągu tych paru godzin — coś bardzo drogiego i pięknego niby rozpłynęło się we mgle, a może... nie istniało nigdy, tylko ona łudziła się, że istnieje, a teraz, w blasku tych wszystkich świateł roztworzyły się jej oczy.

— Nie jestem widocznie stworzona do balów — mówiła sobie — tysiąc razy lepiej mi w domu, lepiej na lekcyach a nawet i w biurze.

Po kadrylu nastąpił mazur, potem znowu lansier i polka, wśród której muzyka przeszła nagle w marsza i pary rozrzucone po salonie, zaczęły się ustawiać w długi szereg. Zygmunt usłyszał obok siebie szelest jedwabiu i mała rączka wsunęła mu się pod ramię.

Co pan myśli o kobietach, które się same narzucają na... towarzyszki do kolacyi? — pytała Wanda, próbując utopić spojrzenie w jego oczach, uciekających od tego spotkania.

— Myślę, że są to istoty... bardzo niebezpieczne — czasem zawdzięcza się im godzinę nudów, a czasem... nieszczęście całego życia.

Głos jego drżał prawdziwem wzburzeniem, miał ochotę usunąć ramię pani Wandzie, czuł, że za parę chwil już nie potrafi tego uczynić, że już będzie za późno — a może było za późno już i teraz... Wanda magnetyzowała go oczyma błyskającemi jak gorąca stal, szelestem seledynowego jedwabiu, zapachem tuberozy, schowanej gdzieś między wstążki i koronki — wszystkie te wrażenia obejmowały go, oplątywały jak sieć niewidzialna a mocna, której rozerwać nie miał siły, choć czuł, że w miarę jak one go opanowywały, błękitna sukienka stawała się coraz mglistsza, coraz bardziej od niego oddalona — i choć to poczucie dręczyło go okropnie.

— Zobaczymy jaki los pana dzisiaj spotka: nudy czy nieszczęście? a może jeszcze jakaś trzecia, niespodziewana szansa, o której istnieniu pan nawet nie wie — śmiała się wesoło Wanda, uprowadzając go do jadalnej sali i po drodze wspierając się na nim tak, że czuł ciepło bijące od jej ramion rozgrzanych w tańcu.

We drzwiach spotkali się z profesorem, który, odprowadziwszy na pierwsze miejsce którąś z poważnych pań, wrócił raz jeszcze do salonu i podał rękę Stefie, nie mającej dotąd pary. Ewcia ze swoim towarzyszem stała o parę kroków dalej, czekając na starszą siostrę.

— Nie wiem, czy nie powinnyśmy już wracać do domu — szepnęła Stefa z wahaniem, przyjmując ramię Kłopotkiewicza — będziemy bardzo późno budzić ciocię Kryście... i... ja jutro będę zmęczona do moich biurowych obowiązków.

— Niech panie zostaną jeszcze; dla cioci to już wszystko jedno, bo i tak spi od dawna, a obowiązki... obowiązki znajdzie pani wszędzie nie tylko w biurze: Nie trzeba uznawać jednych tylko, zaniedbując inne, nieraz ważniejsze, od których spełnienia zależy coś więcej niż kawałek chleba: nasze własne i cudze szczęście.

— Cudze, na to się godzę; ale nasze własne szczęście nie jest przecie obowiązkiem, jest tylko radością i zachwytem

— I poświęceniem nieraz i walką, najtrudniejszą do wygrania wtedy, gdy w niej trzeba złamać własną dumę — dokończył profesor z dziwnym ogniem. Pani uznaje tylko tę walkę o byt, którą popiera inżynierski patent — ale walka toczy się na każdem polu, i od żadnej nie powinni się uchylać ludzie szlachetni, którzy wierzą, że razem z niemi zwycięży dobro.

Rozmowa opóźniła ich trochę — i gdy doszli do jadalnej sali, zastali tam dwa już tylko miejsca, przy tym samym stole, u którego góry królowała Wanda. Był to stół młodzieży, to też było przy nim gwarno i wesoło, młoda gospodyni nadawała zabawie ton dość swobodny; profesor i Stefa, którzy zająwszy swoje miejsca zmienili przedmiot rozmowy i gawędzili obojętnie o wykładach, lekcyach i książkach, robili wrażenie ludzi rzuconych tu z innego świata.

— Niech pan spojrzy, jak ci dwoje mają pogrzebowo poważne miny — szepnęła Wanda, wskazując ich zlekka Zygmuntowi — oniby stanowili doskonale dobraną parę; zadawałam sobie już nieraz pytanie, dlaczego mąż mój nie zakochał się w Stefie i nie ożenił się z nią.

Zygmunt spojrzał z pewnem zdziwieniem; wprawdzie nie wiedział nic o miłości Kłopotkiewicza, która tak śmiałe postawienie tej kwestyi czyniła już nieco bezczelnem, ale i bez tego wydawało mu się dziwnem, żeby kobieta miała tak na zbyciu swojego męża; przytem nie lubił słyszeć imienia Stefy w ustach Wandy.

— A pani coby wtenczas robiła? — zapytał krótko.

— O ja... byłabym wolną jak ptak i poszłabym gdzie oczy poniosą — może na kraj świata, a może — blisko bardzo.

Zygmunt uczuł, że to słowo „blisko“ rzuciło na niego jakby żarem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

sferze niezdrowej. Co gorsza, wzrasta w niej i nawyka do niej pokolenie najmłodsze, skazane obłudą otoczenia w zaraniu lat swoich na przedwczesne skażenie umysłu i serca.

W nowowychodzącym *Kuryerze Polskim* w Warszawie ukazał się znakomity artykuł Straszewicza o patryotyzmie. Oto co p. Straszewicz pisze o istocie patryotyzmu:

„Od siły i szczerości patryotyzmu byt i szczęście narodów zależy. Patryotyzm jest podstawą życia w społeczności. Gdyby ludzi nie łączyła przeszłość, gdyby nie kochali ziemi i mowy ojczystej, gdyby nie mieli wspólnych pragnień i celów, człowiek żyłby jak zwierz, dla własnej tylko uciechy. Patryotyzm jest chlebem powszednim narodów.

Patryotyzm to uczucie wielkie i szlachetne; broni nas od zgubnych pokus samolubnej korzyści; podnosi, kształci, doskonali, daje zaznać zadowoleń najwyższych.

A dalej: Patryotą jest ten, kto na niedolę współrodaków patrzeć nie może w obojętności, komu serce rwie się do niesienia pomocy nieszczęściu. Patryotą jest ten, komu interes kraju z uwagi nie schodzi, kto dla popisu, czy dla korzyści własne nie uczyni i nie powie nic takiego, coby krajowi zaszkodzić mogło.

Patryotyzm to troska o szczęście swego narodu, to usiłowanie polepszenia warunków dla jego pracy i życia. Rzetelny patryota głowę wciąż łamie, coby dla pożytku kraju z dobrym skutkiem uczynić należało; to też myśl jego nie odchodzi od spraw, które wymagają prędkiego załatwienia, załatwić się dadzą, a bez których naród marnieje.

Patryotę martwi, że lud nasz czytać i pisać nie potrafi, a nie zawsze złe od dobrego odróżni; że nasz rzemieślnik nie ma gdzie i kiedy w zawodzie swoim się doskonalić, że w razie nieszczęścia do lichwiarza o pomoc iść musi. Patryota troszczy się o powagę Kościoła w kraju i o dzieła miłosierdzia; obchodzą go czytelnie po wsiach i herbaciarnie w miastach, niepokoi go emigracya, dolega mu zły stan dróg i niedoskonałość urządzeń sanitarnych; myśli o długości dnia roboczego i o mieszkaniach dla ubóstwa, odczuwa kłopoty matki przy wychowaniu dzieci — i ojca przy wyborze zawodu dla syna. Patryocie chodzi o postęp rolnictwa, o rozwój przemysłu i handlu, o instytucye miejskiego i ziemskiego samorządu; dba o czystość języka i o rozkwit literatury; rozwinąć pragnie poszanowanie sprawiedliwości wśród współobywateli.

To są wszystko potrzeby narodowe; od ich zaspokojenia zdrowie i siła zależą; nie zaspokojone sprowadzą niemoc i kalectwo. Nad niemi pracować możemy i powinniśmy. Dużo ich — ręce sobie urobimy i życie minie, a do końca będzie daleko.

Tak rozumiemy patryotyzm i wypływające zeń obowiązki u nas".

## Sytuacya.

O wczorajszej konferencyi prezesa gabinetu br. Gautscha z przywódzcami młodoczeskimi wydano następujący komunikat:

„Na konferencyę przybyli posłowie Engel, Kaizl, Kramarz i Pacak. Prezydent ministrów skreślił obraz sytuacyi politycznej, uwzględniając nadchodzącą sesyę sejmową. Z wywodów jego wynika, iż rząd jest zdecydowany nie unikać dyskusyi nad sprawą językową w sejmie czeskim, że raczej przeciwnie, chce w danym wypadku jasno określić swoje stanowisko i starać się wszelkiemi siłami o złagodzenie kontrastów. Posłowie czescy zaznaczyli, że jak naród czeski, tak i oni nigdy nie wyrzekali się i w obecnej chwili nie wyrzekają się gotowości załatwienia spraw narodowościowych w drodze pokojowej, coprawda tylko pod tym warunkiem, zrozumiałym aż nadto, że równouprawnienie narodu czeskiego pozostanie nienaruszone w całości. Tegoroczna sesya Sejmu czeskiego zapewne dopomoże do osiągnięcia tego celu, jeżeli i po stronie niemieckiej ujawnią się tendencye ugodowe.

Prezydent ministrów zapewniał, że aczkolwiek przykłada największą wagę do tego, aby porozumieć się z Niemcami co do usunięcia sporu językowego, to jednakowoż dalekim jest od tego, aby spowodować coś, co naruszałoby równą wartość i równe prawa języka czeskiego, albo też niepodzielność królestwa czeskiego. Prezydent ministrów niejednokrotnie zaznaczał nieodzowną konieczność dojścia do załatwienia kwestyi językowej w sposób, któryby zadowolnił obie strony, a to w interesie państwa i kraju. Między innemi posłowie czescy poruszyli sprawę sytuacyi w Pradze i ze swej strony dali najuroczystsze zapewnienie, iż gdy zniesione zostaną sądy doraźne, nie należy się obawiać rozruchów w Pradze, a to tem więcej, że ludność praska, jeżeli już nie z innego względu, to w interesie sprawy czeskiej i z szacunku dla sejmu i jego członków tak czeskich, jak niemieckich, zachowa zupełny spokój.

Narady przerwano o godzinie w pół do drugiej w południe, podjęto je na nowo o w pół do szóstej i zakończono o w pół do siódmej".

W Budziejowicach odbył się czeski wiec ludowy, na którym oświadczono się przeciw podziałowi Czech na trzy terytorya językowe.

Na uwagę zasługuje artykuł *Bohemii*, praskiego organu liberalnych Niemców. W artykule tym powiedziano, że Niemcy czescy powinni się zbliżyć do prezydenta ministrów br. Gautscha i ułatwić mu zwołanie parlamentu. Br. Gautsch nie jest odpowiedzialnym za ostatnie wypadki; oprócz tego zaś miałoby niezwołanie parlamentu także ten skutek, że atrybucye parlamentu w końcuby się zmniejszyły i musiałyby przejść na sejmy.

W Brixen w Tyrolu odbył się wczoraj wiec katolicko-niemiecki, na którym p. Zallinger występował przeciw agitacyi, którą ostatnimi czasy starają się rozwinąć w Tyrolu narodowcy i liberałowie niemieccy, a zwłaszcza p. Lecher. Uchwalono szereg rezolucyj, w których wypowiedziane jest: strzeżenie poczucia niemieckości w duchu chrześcijańskim, przywiązanie do Cesarza i ojczyzny, jak również wytrwanie w walce z liberalizmem. Posłom katolickim wyrażono podziękę za ich usiłowania, zmierzające do wyrównania sporów narodowościowych w drodze pokojowej.

## O Sojotach.

Jeden z rodaków naszych, zatrudniony jako inżynier przy budowie kolei Syberyjskiej, podał nam wiązankę wiadomości o Sojotach, interesującą tem więcej, iż o tem plemieniu zamieszkującem z wielu innemi północną Syberyę, wiedzieliśmy dotychczas bardzo mało. O Buryatach pisał dość obszernie Niemojowski i Rajchman, o Jakutach Szymański i Sieroczewski, o Sojotach wspomniał bardzo pobieżnie tylko Czerski w wydanych niedawno w Petersburgu dodatkach do geografii Azyi Ritter'a.

Oto, co o nich pisze teraz nasz rodak: „Duchowe życie Sojotów bynajmniej mnie nie zaciekawiło, a praktyka stosunków w ciągu wielu lat z rozmaitemi plemionami azyatyckiemi bynajmniej nie wzbudziła we mnie jakichś podnioślejszych dla nich uczuć. Jak każdy człowiek stojący na niskim stopniu rozwoju umysłowego i moralnego przedewszystkiem jest egoistą, tak i Sojota przedewszystkiem myśli tylko o samym sobie, chociaż poczucie solidarności plemiennej jest w nim dość silnie rozwinięte.

Sojoci z pochodzenia należą do plemienia tiurkskiego, ci, którzy zamieszkują okolice rzek, spływających z Alp chińskich, pod wpływem Buryatów zupełnie utracili pierwotne swe cechy. Teraz chyba tylko starcy mogliby jako tako porozumieć się w swojem pierwotnem narzeczu. Żeniąc się z Buryatkami, Sojoci przyjęli kulturę buryacką, ich język, ich religię, a z dawnych czasów pozostało się im tylko myśliwstwo, jako główny środek do życia i renifery, utrzymujące ich około wierzchołków gór, pokrytych mchem, stanowiącym główny pokarm tych zwierząt.

Od czasów Alibert'a Sojoci zaczęli zajmować się hodowlą koni, bydła i owiec, i ta okoliczność z czasem ostatecznie wywoła emigracyę Sojotów z gór. Po tych, już i teraz zacisznych miejscach, tylko w jesieni rozlegać się będą strzały myśliwych. szukających soboli, wiewiórek, dzikich reniferów, baranów górskich lub danieli.

Sojoci, zupełnie jak mieszkańcy Lwowa, wyjeżdżają na letnie mieszkania. Zimowe swe leże urządzają oni około prześlicznych alpejskich polanek, porosłych nie wysoką, ale bardzo gęstą i pożywną trawą. W końcu lata koszą tutaj trochę siana dla bydła i dla koni. Chaty ich, chociaż jeszcze nie zawsze, bywają zaopatrzone w piece podobne do tych, jakich używają u nas po wsiach do pieczenia chleba; częściej jednak zadawalają się Sojoci ogniskiem pośrodku izby. W ścianach szpar niezatkanych pozostaje niemało.

Na letnie leże wybierają sobie inne miejsca, gdzie także obok trawy dla bydła znajduje się podostatkiem i mchu dla reniferów. Trudności w wyborze miejsc nie napotykają, jest ich zbyt mało, razem nie więcej jak 150 do 200 mężczyzn, kobiet i dzieci, a koczują na obszarze co najmniej 10.000 wiorst kwadratowych.

Jedynem właściwem ich zajęciem jest myśliwstwo; najzyskowniejsze, stanowiące o bycie rodziny, odbywa się w jesieni, kiedy zwierzęta, przygotowując się do przebycia surowej zimy, odzieją się w puszyste i piękne skóry. Na polowania jesienne wyruszają zwykle maleńkiemi kompaniami po dwóch, po trzech, rzadziej czterech razem. Zabierają z sobą dostateczny zapas żywności i powracają, kiedy głębokie śniegi nie pozwalają z dobrym skutkiem wyszukiwać zwierza. Przeważny łup stanowią sobole i wiewiórki, dające futro znane u nas pod nazwą popielic, gronostaje, rzadziej niedźwiedzie i rosomaki. Oczywiście, nie przepuszczają ani łosiowi, ani danielowi i w ogóle żadnej trafiającej się zwierzynie. Skórki sprzedają kupcom w najbliższych wioskach, przeważnie w Tunce, do której mają przeszło 200 wiorst drogi.

Ceny soboli wahają się znacznie, stosownie do wartości skórki, która zależy od mniej lub więcej ciemnego zabarwienia, a także od mody, jakiej w danym czasie nasze panie hołdują. Niezłą skórkę można dostać za 10 rubli, ale za taką cenę może nabyć tylko kupiec, kredytujący Sojotowi przez cały rok i czekający na zapłatę do zimy. Człowiek obcy musi zapłacić w dwójnasób. Skórka popielicy kosztuje 20 do 30 kop., niedźwiedź od lat kilku trzyma się w cenie i dobra skóra kosztuje do 50 a nawet do 80 rubli. Ze skór łosi, danieli i reniferów robią zamszę i szyją sobie z niej ubranie, chociaż teraz coraz częściej korzystają z sukien łódzkich fabryk, które za wygórowane ceny sprzedają im tutejsi kramarze.

Chleba Sojoci jeszcze nie pieką, robią sobie coś w rodzaju podpłomyków pieczonych w popiele, ale mąki używają w znacznej ilości pod postacią przyprawy do herbaty, z której otrzymują oryginalny, dość posilny napój, zwany „zaturanem". Robią zaś go w następujący sposób: Do płaskiego sagana postawionego na taganie nad ogniem, wsypują kilka łyżek mąki i wielką warząchwią mieszają ją, przy czem mąka podpala się trochę. Doświadczona w tem Sojotka określa kiedy do mąki trzeba dodać trochę masła lub sadła i w taki sposób otrzymuje się masa bardziej sypka niż nasza rzezucha. Do tak podsmażonej mąki zaczynają łyżkami dolewać herbaty i, po dodaniu mleka lub śmietany i soli, otrzymuje się zupa w rodzaju naszego żuru. Jeśli Sojota nie ma mięsa, to całemi tygodniami żywi się tylko taką potrawą. Ale za to, gdy uda mu się coś upolować, jest w stanie zjeść prawie tyle, co żarłoczny Kirgiz, który na jednem posiedzeniu daje radę trzydziestofuntowemu baranowi i następnie trzy dni oddaje się przyjemnemu trawieniu.

Z drugiej zaś strony Sojota jest nadzwyczaj wytrzymały na głód, jak również na zimno i słotę. W roku zeszłym w karawanie mojej znalazło się dwóch malców, jeden miał lat dwanaście, drugi zaś zaledwie dziesięć; pilnowali oni reniferów; odziani byli tak, że ze wszystkich stron wyglądało gołe ciało, podczas deszczów nocowali, przykucnąwszy gdzieś pod drzewem i pomimo tego byli jak najzdrowsi.

Drugi jeszcze przykład wytrzymałości i rezygnacyi mogę przytoczyć. Gdy przyszedłem do Sojotów na tz. Arłyk-goł, zaraz zwrócił się do mnie jeden z tamtejszych mieszkańców z prośbą, czy nie mogę dać żonie jego jakiego lekarstwa. Była ona kilka dni po połogu i zatrzymał jej się pokarm. Piersi jej spuchły, nabrały barwy fioletowej.

Kobieta, młoda jeszcze, skarżyła się na ból, ale ani stękaniem, ani też w jaki inny sposób nie wyrażała swych cierpień. Nie mając pojęcia jak należy w danym wypadku postąpić, zdecydowałem się dać obojętne lekarstwo, jedynie tylko dlatego, ażeby wzbudzić w biednej kobiecie wiarę i energię. Przygotowałem tak słaby rozczyn jodu, że nie mógł wywołać najmniejszego skutku. silnego obawiałem się dać, nie będąc pewnym czy dodatnie w danym razie będzie jego działanie.

Wiara, albo czas zrobiły swoje, — już na drugi dzień chora czuła się lepiej i następnie wyzdrowiała. Sojoci, dowiedziawszy się, że mam lekarstwa, i że proszącym chętnie je daję, zaczęli ze wszystkich stron oblegać mnie ze swojemi chorobami i wtedy dowiedziałem się, jaka masa z pomiędzy nich jest narażona na dotkliwe i zaniedbane cierpienia.

Zapalenie powiek, trachomy, sifilis, i najrozmaitszego rodzaju rany najczęściej zdarzało mi się widzieć. Wobec klasycznego brudu Sojotów, walka z temi chorobami staje się bezskuteczną. Apteczkę moją dobrze nadwerężyłem rozdając siarczan cynku, jodoform, jod i środki opatrunkowe. Europejska wiedza lekarska do Sojotów nie przedostaje się, zastępuje ją sztuka lamów (kapłanów) mongolskich, przyjeżdżających tutaj dla praktyk religijnych z Darchatskiego Kiurenia.

Góry i tajgę znają Sojoci wyśmienicie. Kiedy zdarzało mi się wdzierać z nimi na wysokie szczyty i przed oczami naszemi otwierał się widok na morze gór, Sojota z zupełną dokładnością określał położenie każdej. chociażby odległej o 100 lub więcej wiorst. Przekonałem się również, że znają oni niemal każdy zakątek swej tajgi, ale bardzo niechętnie pokazują ją obcym. Powodują się w danym razie dwoma względami. Przedewszystkiem przypuszczają, że taki np. jak ja najeźdzca znajdzie w ich ziemiach jakieś bogactwa, zjawi się z taborem robotników, wyrąbie i wypali tajgę i przerwie wątek ich dostatniego i spokojnego życia. Czują oni, a zapewne i wiedzą, że cywilizacya zjawi się u nich przedewszystkiem pod postacią wódki, doprowadzi ich do nędzy, pozbawi tej swobody, jaką cieszą się teraz. Wiedzą, że Karagasi, ich sąsiedzi, znakomici niegdyś myśliwi i stosunkowo dostatnie plemię, ze zjawieniem się poszukiwaczy złota nad rzeką Biriusą, zeszli na popychadła tych ostatnich i dla nich tylko za wódkę pracują. Drugim powodem ukrywania przed przybyszem dróżyn w tajdze jest obawa profanacyi miejsc świętych. Sojota czci stwórcę na każdem miejscu: i rzeczka, i góra, i wodospad i kamień barwny, lub niezwykłej formy, jest siedliskiem jakiegoś ducha. Najczęściej na wierzchołkach gór, przez które prowadzą ścieżki, składają dziękczynne ofiary panom tych miejsc za to, że szczęśliwie pozwolili im wznieść się na szczyty. Ofiarę stanowi szczypta tytoniu, kamień lub gałązka rzucona na stos, włos z grzywy końskiej jest ofiarą w imieniu konia. Dlatego też na wszystkich, z jakiegobądź względu czczonych miejscach, można widzieć stosy kamieni lub gałęzi, obwiązanych skrawkami różnokolorowego perkalu; stosy te, w niektórych miejscach wznoszą się na parę sążni, a w Mongolii te ofiary składają się z umyślnie na ten cel wyrabianych przedmiotów, zaś skrawki i strzępy perkalu zastąpione są przez chusteczki z wydrukowanemi na nich modlitwami.

Stosy te albo kopce, zwane „obo", zawdzięczają swe powiększanie się nietylko Buryatom i Sojotom lamaistom; każdy z moich ludzi, a byli to przeważnie kozacy, prawosławni z prapradziada, z równem namaszczeniem i wiarą dorzucali gałązki i kamienie, wyrywali włosie z grzyw swoich koni.

Ponieważ „obo" stoi zawsze na miejscach z jakiegobądź względu ciekawych i ważnych dla przyrodnika i geografa, więc i mnie zwykle wypadało dłużej się około nich zatrzymywać i robić niektóre obserwacye. Termobarometryczne spostrzeżenia, polegające na określeniu temperatury wrzenia wody, Sojoci nazywali mojem szamanieniem (zamawianiem czarów). Pomimo jednakże przyjaznego stosunku oszukiwali mnie oni nadzwyczaj często, twierdząc, że przez to lub owo miejsce, przez tę lub ową górę przejść nie można, mówili, że jeśli pójdę tą drogą, to w błotach i pośród kamieni potracę wszystkie konie, że przez te miejsca ptaki tylko przelatują, ale ludzie nie chodzą, że spotkamy takie urwiska i skały, na które nawet z reniferami wdrapać się niepodobna. — Były to zawsze strachy na Lachy. — Sojot kocha nadzwyczaj niezależność. Największą przykrość sprawiało im to, że nie mogli swobodnie oddalać się od karawany, wieczór lub nad rankiem udać się na jakieś ulubione przez łosie lub daniele miejsce i zabić jedną lub dwie sztuki; natomiast radość ich bywała wielka, gdy zachodziła potrzeba zaopatrzenia się w mięso i gdy część ich dostawała na pół dnia urlop. Ale i tutaj nie mogło się obejść dla nich bez przykrości, przywozili taką masę mięsa, że część, ażeby zbytecznie nie objuczać koni, trzeba było rzucać.

O ile sądzić mogę, Sojoci muszą być dosyć zamożni, widać to np. w odzieniu świątecznem; w dobrych ze srebrnem okuciem siodłach: w berdanowskich gwintówkach, w bogatych srebrnych i koralowych naszyjnikach i kolczykach kobiet. Srebro, jak wszyscy mieszkańcy Azyi środkowej, lubią oni bardzo i sztukę wyrabiania różnych przedmiotów z tego metalu zwykli kowale doprowadzają dosyć wysoko. Zdarzało mi się widzieć wcale misternie ukute pochwy do noży, kolczyki ażurowej roboty. Zamiast srebra używają biedniejsi najzilbru, noszącego tutaj nazwę polskiego srebra.

Sojoci są gorliwymi lamaistami i pielgrzymki do miejsc czczonych przez buddystów, a leżących daleko w Mongolii lub w Tybecie są dość zwykłe między nimi.

Na zakończenie tych notatek o Sojotach wzmianka o granicach miejscowości przez nich zamieszkanych i o ich zewnętrznym wyglądzie fizycznym.

Zamieszkiwali oni dawniej północne stoki gór Sojańskich, pomiędzy rzekami Kitojem i Oką; obecnie, gdy liczba ich zmiejszyła się. maleńkie ich ułusy można napotkać tylko na wierzchołkach Kitoja, Uryka i Jormy i nad brzegami jeziora Ilczyr, stanowiącego jedno ze źródeł Irkuta. Siedliska ich zajmują stosunkowo niewielką przestrzeń, ale za to dla celów myśliwskich rozporządzają Sojoci ogromnym pasem ziemi. Na północ posuwają się oni o 150 wiorst od domostw swoich. a na wschód i na zachód niemniej jak po sto wiorst w każdą stronę. Tajgę dzielą między sobą, ale w jaki sposób, powiedzieć nie potrafię.

Sojot jest nadzwyczaj szczupły i lekki; wziąwszy go za pas jedną ręką, można go podnieść. Będąc ciągle w ruchu, trenuje się doskonale, ale siły w sobie nie wyrabia, albo przynajmniej wyrabia tylko w pewnym kierunku. Maleńką siekierą szybko i zręcznie zrąbuje wielkie drzewa, lecz ciężaru dźwignąć nie może. Chodzi lekko i prędko, ale, jeśli ma konia lub renifera, to w najniebezpieczniejszem miejscu, na największem błocie, gdzie biedne zwierzę po brzuch tonie, za nic w świecie zeń nie zejdzie. Żony Sojotów, z pochodzenia Buryatki, pod względem rozwoju fizycznego przewyższają mężczyzn; Sojoci dobierają sobie dorodne towarzyszki życia".

## Szkodliwość trunków.

V. Ogromne rozpowszechnienie się pijaństwa pośród społeczeństw ucywilizowanych i szerzenie się tej klęski w sposób zatrważający, zmusza do zastanowienia się nad tem, jakie są przyczyny alkoholizmu.

Przyczyn tych jest bardzo wiele. Za jedną z najważniejszych należy uważać ogólną nerwowość, cechującą się wyczerpaniem energii systemu nerwowego, którą sztucznie na czas pewien za pomocą trunków można pobudzić. Wszystkie więc czynniki, wpływające na wyczerpanie systemu nerwowego, wywierają również wpływ na szerzenie się alkoholizmu.

Za daleko musielibyśmy odstąpić od interesującego nas obecnie przedmiotu, gdybyśmy chcieli bliżej określić wszystkie przyczyny rozpowszechnionej obecnie nerwowości, na którą składa się bardzo wiele czynników ogólnej i osobistej natury.

Wśród tych czynników wybitne zajmują stanowisko warunki społeczne, życie gorączkowe, pogoń za rychłem zbogaceniem się, coraz trudniejsze warunki walki o byt, brak ideałów w życiu, warunki wychowania, nadmiar wrażeń i t. d.

Oto w kwestyi stosunku alkoholizmu do nerwowości mówi słynny lekarz amerykański Beard: „Jeżeli układ nerwowy z jakiejkolwiek przyczyny postrada właściwą sobie energię, wówczas zaczyna pożądać podpory, któraby jeszcze od czasu do czasu mogła go pokrzepić. W tym celu zostały wyszukiwane i zużytkowane wszystkie środki, które sprowadzają ukojenie, zapomnienie, ulgę, a więc chloral, chloroform, nakoniec alkohol i inne. Z początku uciekamy się do nich tylko w razach wyjątkowych, ale stopniowo użycie ich staje się nałogiem. W ten sposób można objaśnić genezę upajania się makowcem lub wyskokiem. Nietylko nadzieja złagodzenia bólów popycha tłumy do drzwi szynków. Nie, to raczej pcha ich chęć walki z wyczerpaniem, uczuciem o wiele jeszcze przykrzejszem niż sam ból. Czasami odziedziczona skłonność do pijaństwa przez długi czas pozostaje w ukryciu i wybucha dopiero wówczas, kiedy jaki ciężki smutek lub troska pozbawi mózg koniecznej siły nerwowej".

Niektórzy neurastenicy są bardzo wrażliwi na działanie trunków i upijają się już jednym kieliszkiem, inni zaś muszą pochłonąć znaczne ilości alkoholu, zanim nastąpi uczucie odurzenia. Neurastenik po wypiciu trunku czuje się silniejszym, zdrowszym; — jego układ nerwowy na krótki czas odzyskuje sprężystość; świadomość cierpień zostaje przytłumiona.

Lecz tylko na czas krótki wpływ alkoholu okazuje się tak dodatnim, ponieważ za pobudzeniem, które szybko przemija, wkrótce następuje większe jeszcze wyczerpanie, a z niem znowu zjawia się konieczność pobudzenia, więc i picia alkoholu, lecz już w powiększonej dozie. W ten sposób neurastenik niespostrzeżenie staje się pijakiem.

Często zdarza się, że nałogowi pijaństwa ulegają też ludzie zdrowi, z zupełnie normalnym układem nerwowym, nie wskutek odczuwania rzeczywistej potrzeby pobudzania się alkoholem, lecz przez bezmyślne naśladownictwo. Dzieje się tu toż samo, co z paleniem tytoniu: palimy i pijemy, bo inni palą i piją. Później zaś, gdy już do trunków przywykliśmy, zawsze się znajdzie powód do wychylenia kieliszka: radość lub smutek, przywitanie znajomych, uroczystości domowe, święta doroczne i tysiące innych okoliczności, przy których zwykliśmy pijać trunki.

Obrońcy alkoholu twierdzą, że alkohol przyczynia się do ożywienia osób zgromadzonych w towarzystwie, że zmniejsza się sztywność, jaka zazwyczaj utrudnia wzajemne obcowanie ludziom, zkądinąd sobie obcym i obojętnym, i znacznie ułatwia nawiązywanie stosunków towarzyskich. Lecz w kółku ludzi ożywionych doskonale obejść się można i bez wzbudzania wesołości za pomocą trunku, który tylko w towarzystwie osób zdenerwowanych może przyczynić się do usunięcia skrępowania.

Do przyczyn alkoholizmu należy też zaliczyć zgubny zwyczaj posilania dzieci napojami alkoholicznemi.

W szeregu czynników sprzyjających szerzeniu się alkoholizmu pośród ludności wiejskiej i fabrycznej wybitne zajmuje stanowisko nędza materyalna, łącznie z upadkiem moralności i ciemnotą umysłową. Taniość wódki, łatwość jej otrzymania wskutek obfitości karczem, usłużności szynkarzy, również przyczyniają się do szerzenia alkoholizmu.

Z przyczyn usposabiających do rozwoju pijaństwa zwrócić należy uwagę na wpływ płci, narodowości, klimatu, wykształcenia, cierpień fizycznych i wzruszeń moralnych.

Według danych statystycznych płeć męzka dostarcza większej liczby alkoholików niż żeńska, i stosunek pierwszej do ostatniej, według statystyki amerykańskich przytułków dla alkoholików, ma się jak 5 do 1. Fakt ten objaśnia się większym udziałem mężczyzn w walce o byt.

Według narodowości pijaństwo najbardziej rozpowszechnione jest w Ameryce i Anglii, w mniejszym stopniu w Rosyi i Francyi w znacznym też stopniu w Syberyi, a wcale prawie nie jest znanem u plemienia semickiego.

Klimat wywiera znaczny wpływ na szerzenie się alkoholizmu. Wilgotny i mglisty klimat Anglii bardziej sprzyja rozwojowi alkoholizmu, niż łagodny klimat Włoch.

Co do wpływu wykształcenia dane statystyczne, zebrane w Anglii i Ameryce, świadczą, że największa ilość alkoholików spostrzega się pośród ludzi pracujących umysłowo, ze średniem lub wyższem wykształceniem.

Szereg cierpień fizycznych sprzyja alkoholizmowi; do nich należą między innemi cierpienia układu nerwowego, płuc, podagryczne, reumatyczne i syfilis.

Wzruszenia moralne, szczególnie przykrej natury, są bardzo często powodem wybuchu alkoholizmu: smutek, rozpacz, przygnębienie, różne zmartwienia bardzo często przyczyniają się do rozwoju pijaństwa, szczególnie u tych ludzi, którzy utracili duchową i moralną równowagę, jako zdenerwowanych i przepracowanych.

Powyżej wzmiankowane czynniki wcale nie wyczerpały całkowitej kwestyi przyczyn szerzenia się alkoholizmu, które należy ściśle zbadać i poznać, w celu skutecznej walki z rozpowszechnionem nadużyciem trunków.

Z pośród przyczyn pijaństwa niektóre są łatwe, inne prawie niemożliwe do zwalczenia, większość zaś ich, stanowiąca wynik nienormalnych stosunków społecznych, może być zwalczona tylko przez ich poprawę.

*Dr. W. Szy.*

## Kronika.

Lwów 8 stycznia.

**U ks. arcybiskupa Morawskiego** odbyło się wczoraj po południu bardzo liczne zebranie dostojników Kościoła, niższego duchowieństwa i kleru z całej lwowskiej dyecezyi z powodu wigilii imienin najprzew. arcypasterza.

**Wiadomości urzędowe.** Pan Namiestnik zamianował oficyałów rachunkowych Namiestnictwa Józefa Portha i Józefa Bielesza rewidentami; asystentów rachunkowych Namiestnictwa Stanisława Feliksa Romera, Alfreda Budzynowskiego i Antoniego Korczyńskiego oficyałami; oraz praktykantów rachunkowych Namiestnictwa Maryana Chechlińskiego, Eugeniusza Baudischa, Andrzeja Karpińskiego i Piotra Mohilowskiego asystentami w departamencie rachunkowym galic. Namiestnictwa.

Krajowa Dyrekcya skarbu zamianowała adjunktami podatkowymi w XI klasie rangi prowizorycznych adjunktów podatkowych: Mieczysława Piestraka i Konstatego Iwasika, tudzież praktykantów podatkowych: Władysława Wilczka, Stanisława Flaka, Piotra Jasicę, Bronisława Karczewskiego, Józefa Wawrowskiego, Stanisława Bursztyna, Franciszka Bubnickiego, Władysława Turkowskiego, Zygmunta Staniszewskiego, Karola Gawlikowskiego, Piotra Przetacznika, Bernarda Brylskiego, Wojciecha Puchalskiego, Bolesława Kiesella, Józefa Horbowego, Modesta Sozańskiego, Mirona Węgrzynowicza, Włodzimierza Zająca i Franciszka Pawlikowskiego, a prowizorycznymi adjunktami podatkowymi: praktykantów podatkowych: Alojzego Bryndzę i Jana Suknarowskiego.

" Kanonik ks. Teofil Łękawski mianowany został scholastykiem kapituły rz. kat. w Przemyślu.

**Bieda z Wolfem.** Poseł Wolf powinien tymi dniami przybyć do Pragi na rozpoczynającą się sesyę Sejmu czeskiego. Ale obawia się, że go tam — Czesi zamordują. Trwoga ta wynikła z puszczonej w świat pogłoski, jakoby młodoczech Gregr powiedział wicemarszałkowi sejmu czeskiego, posłowi Lippertowi, iż poseł Wolf w chwili, gdy będzie chciał wejść do gmachu sejmowego, zostanie zamordowany. Jakkolwiek zarówno Gregr, jakoteż i Niemiec Lippert stanowczo zaprzeczają tej pogłosce, Niemcy jednak są nią tak zaniepokojeni, że — jak donosi *Prager Abendblatt* — mieszkańcy Cieplic zawezwali tamtejszą Radę gminną do żądania, aby miejsce obrad Sejmu przeniesiono z Pragi do jakiegokolwiek innego miasta, gdyż w Pradze życiu Wolfa grozi niebezpieczeństwo.

Z tego samego powodu Rada miejska w Karbicach rozesłała następujący okólnik: „Szanowni radni miejscy! Życie posła Wolfa będzie w niebezpieczeństwie, jeżeli, jak się tego bezwarunkowo spodziewać należy, Wolf zjawi się w gmachu sejmowym. Wobec tego jest obowiązkiem obywatelskim, aby w piątek, w dniu 7 b. m, każda niemiecka gmina wysłała uwierzytelnionego delegata do Pragi, celem przedstawienia namiestnikowi niebezpieczeństwa, grożącego Wolfowi. Oprócz tego, prosimy postarać się o to, aby zwłaszcza to pismo (lepiej w formie telegramu!) natychmiast wysłane zostało do namiestnika, oraz do ministra spraw wewnętrznych".

Podpisali w Pradze w Spiegelsaal des Deutschen Hauses (Graben): Josef Borian, przewodniczący wydziału powiatowego, dr. Zeidler i dr. Eisenkolb.

Formularz, który ma być posłany do ministra spraw wewnętrznych, brzmi: „Rada gminna miejscowości . . . . . przypomina panu groźbę, wypowiedzianą przez Gregra do Lipperta, a zapowiadającą, że Czesi zamordują Wolfa, gdy będzie chciał wejść do gmachu sejmowego. Wobec tego gmina domaga się przełożenia miejsca obrad do innej miejscowości — ewentualnie zarządzenia jak najdalej idących środków ochronnych dla uświęconej osoby posła Wolfa. Za każdą czynną obrazę jego osoby czynimy rząd odpowiedzialnym — i zauważamy, że wszystkie warstwy naszego narodu są zdecydowane traktować zamieszkałych w niemieckich okolicach Czechów jako zakładników za Wolfa.

*Ostdeutsche Rundschau* donosi, że Wolf otrzymał z Dux „dar honorowy" w kwocie 5000 zł.

**Otwarcie Akademii handlowej we Lwowie** nierychło nastąpi z powodu zbyt wygórowanych żądań, stawianych przez Rząd do kraju i funduszów lokalnych. Jeszcze w sierpniu 1896 oświadczyło Ministerstwo wyznań i oświaty gotowość wzięcia pod rozwagę sprawy założenia we Lwowie wyższej szkoły handlowej, postawiło jednak żądania tak wygórowane, że zrealizowanie projektu rządowego jest w danych warunkach wprost niemożliwem. Oto zażądało Ministerstwo dostarczenia dla szkoły zupełnie urządzonego budynku, a nadto zapewnienia, że władze krajowe i miejscowe przyczynią się jednorazowo, co najmniej w dwóch trzecich częściach, do pokrycia kosztów sprawienia zbiorów, środków naukowych itp., które wynosić mają 10 do 15 tysięcy zł., tudzież że do bieżących wydatków na utrzymanie szkoły handlowej przyczyniać się będą stale w stosunku co najmniej dwóch trzecich części tych kosztów, które wynosić mają około 30.000 zł. rocznie. Według tego projektu skarb państwa, miałby pokryć tylko trzecią część kosztów sprawienia zbiorów naukowych i ponosić tylko trzecią część kosztów utrzymania projektowanego zakładu państwowego. Wydział krajowy zdając sprawę Sejmowi o tym stanie rzeczy, nazywa to stanowisko Rządu wprost nieprzychylnem dla sprawy, gdyż utworzenie i utrzymywanie rzeczonej szkoły państwowej w tych warunkach nie obciążałoby skarbu państwa więcej aniżeli subwencyonowanie szkoły handlowej założonej i utrzymywanej przez kraj lub miasto.

Zaznaczyć wypada, że ofiarność naszych władz miejscowych na cele założyć się mającej szkoły handlowej, jest stosunkowo bardzo znaczną. I tak: Lwowska Izba handlowa ofiarowuje jednorazowo 10.000 zł., oraz 1.000 zł. rocznie, gmina miasta Lwowa 3.000 zł. jednorazowo i 6.000 rocznie, zaś Wydział krajowy oświadczył gotowość stałego subwencyonowania szkoły kwotą 6.000 rocznie. Projekt ten przedłożył Wydział krajowy Radzie szkolnej krajowej, z prośbą o wyjednanie, ażeby Ministerstwo odstąpiło od pierwotnych warunków i uznało powyższe subwencye za dostateczne i przystąpiło jak najrychlej do zrealizowania projektu. Ponieważ dotychczas Ministerstwo nie dało Wydziałowi krajowemu żadnej odpowiedzi, przedstawił Wydział krajowy Sejmowi wniosek, ażeby Sejm ponowił wezwanie do Rządu o jak najrychlejsze założenie i otwarcie wyższej szkoły handlowej we Lwowie.

**Bal prasy** odbędzie się w sobotę dnia 12 lutego b. r. w salach kasyna miejskiego. Komitetowi balowemu poświęcił znany muzyk p. Adam Wroński następujące kompozycye: „Miłe wspomnienia" (mazur), „Najnowsze telegramy" (walc) i „Echa balowe" (kadryl). Utwory te zostaną po raz pierwszy wykonane podczas balu prasy.

**Wielka reduta** na dochód Towarzystwa dziennikarzy polskich odbędzie się dnia 1 lutego r. b. Reduta artystyczna odbędzie się dnia 17 lutego.

**† Oswald Mochnacki**, radzca lwowskiego sądu wyższego i członek zarządu Kasy oszczędności, zmarł wczoraj w naszem mieście, licząc lat 59 wie-

ku. W kołach prawniczych zażywał wielkiego szacunku jako prawnik znakomity, a w świecie towarzyskim ceniono wysoko jego wielkie przymioty umysłu i serca. Spokój jego duszy!

**Defraudacya Kleszkowskiego.** Krakowski *Czas* po zaczerpnięciu informacyi u dyrektora krakowskiej asekuracyi, p. Romera, oświadcza, iż ponad szkodę skonstatowaną już, która wynosi stodwadzieścia kilka tysięcy zł., szkontrum nie wykryło żadnej nowej malwersacyi Kleszkowskiego. Zaprowadzono już w dziale życiowym w Krakowie stałą wewnętrzną kontrolę, którą sprawuje rewident Szyszkiewicz. — We Lwowie taką samą kontrolę powierzyła Dyrekcya p. Pileckiemu.

**Kościół PP. Klarysek** przy ulicy Łyczakowskiej, odstąpiony przez rząd miastu dla młodzieży szkół średnich w celu słuchania nabożeństw, został w tych dniach oddany miastu formalnie w fizyczne posiadanie.

**Konstanty Górski**, pułkownik artyleryi i zasłużony wielce historyk zmarł w Warszawie. S. p. Górski, po otrzymaniu emerytury, poświęcił się z zapałem studyom historycznym i odbywał podróże celem odnalezienia starych dokumentów i źródeł do historyi wojska polskiego w wiekach dawnych. — Był także ś. p. pułkownik redaktorem działu wojskowego w „Wielkiej Encyklopedyi powszechnej illustrowanej“, w której pomieścił szereg artykułów o artyleryi. Rozprawy historyczne pomieszczał w *Bibliotece warszawskiej, Gazecie Polskiej* i w lwowskim *Przewodniku naukowym i literackim*. Zmarły, obok spuścizny literackiej pozostawił testamentem 10.000 rubli dla Akademii Umiejętności w Krakowie, a 10.000 rubli na kasę pomocy naukowej imienia Mianowskiego. Ostatni z tych zapisów obciążony jest dożywociem na rzecz owdowiałej żony p. Górskiego.

**Polacy w Niemczech.** Pozycya rodaków naszych w Niemczech dzięki spuściźnie po gabinecie hr. Badeniego staje się coraz uciążliwszą. Nienawiść niemiecka objawia się przy lada sposobności. Tak np. gdy na politechnice darmsztadzkiej na wykładzie budownictwa profesor wspomniał o tak zwanem „wiązaniu polskiem“, studenci zagłuszyli te słowa szuraniem nogami. Rektorat politechniki w Darmsztacie także nie jest dla studyujących tam Polaków dobrze usposobiony, czego dowodem opatrzone pieczęcią urzędową rektoratu ogłoszenie, wywieszone w portalu politechniki o mającym się odbyć w sali miejskiej odczycie jakiegoś hakatysty na temat „Polengefahr in den Ostmarken“.

**Konkurs** rozpisuje: Zwierzchność gminna miasteczka Kopyczyńce na posadę rewizora policyi z płacą 300 zł. Termin do 31 bm. — Sąd powiatowy w Nisku przyjmie natychmiast pisarza rutynowanego w sprawach karnych z przekroczenia za wynagrodzeniem miesięcznem 25—30 zł.

**Z Krosna** nam piszą: Mamy nader chwalebny i humanitarny fakt w naszem mieście do zanotowania. Przed miesiącem zawiązał się tutaj komitet pań, w celu zaopatrzenia ubogiej dziatwy szkolnej w ciepłą odzież. Staraniem dzielnych pań naszych [illegible] nadspodziewanie pomyślnym rezultatem, zebrano bowiem w drodze składek wśród tutejszej inteligencyi i okolicznego obywatelstwa pokaźną sumę zł. 504·10 ct. W dniu 6 stycznia b. r. [illegible] w obecności starosty, ks. prałata, dyrektora szkoły oraz miejscowej inteligencyi, rozdanie zakupionych ubrań, a mianowicie: zaopatrzono w ciepłą odzież 56 chłopców i 40 dziewcząt. Z pozostałej nadwyżki urządzono ubogiej dziatwie choinkę [illegible], tudzież ofiarowano złr. 50 ubogiej młodzieży miejscowego seminaryum [illegible].

**Ze świata towarzyskiego w Londynie.** W pałacu księcia Marlborough odbyło się w tych dniach przedstawienie amatorskie poprzedzone żywymi obrazami, między którymi był jeden przedstawiający „Audyencyę u królowej Maryi Leszczyńskiej“. Królową była księżna Marlborough i ogólnie zauważono uderzające podobieństwo jej z portretami, jakie pozostały po Maryi Leszczyńskiej.

**Piękna myśl.** Wiedeńska *Sonn und Montagszeitung* donosi o następującem zdarzeniu: W mieście Westfalen w Niemczech umarł rabin tamtejszy, który cieszył się powszechnym szacunkiem, gdyż był człowiekiem nadzwyczaj uczciwym i [illegible], a przytem całe życie nie zadrasnął cudzych uczuć religijnych, lecz owszem wobec każdej religii okazywał jak największy szacunek. Dlatego też w pogrzebie jego wzięły udział oprócz żydów, także tłumy chrześcijan, a nawet proboszcz miejscowy ks. [illegible] miał przemowę, w której na wstępie oddał hołd [illegible] [illegible]

**Polacy w Charkowie.** Piszą z Charkowa: [illegible]

Czy taki wypadek istotnie miał miejsce, [illegible]

**W zamiarze samobójczym** strzelił wczoraj na Wysokim Zamku [illegible] emerytowany oficyalista prywatny Adolf M. [illegible] lat 65 [illegible] w skroń, wystrzał z [illegible] rewolwer [illegible] w czoło, przy-

skoczył doń i chwycił za rękę. W tej chwili padł strzał drugi, a kula wskutek potrącenia ręki starca, ześlizgnęła się po czaszce i wyszła za uchem. Przyczyną rozpaczliwego kroku była nieuleczalna choroba.

**Mierzenie zmęczenia u szkolnych dzieci.** Berliński lekarz Wagner napisał książkę pt. „Nauka i zmęczenie“, w której próbuje oznaczyć stopień wytężenia, jakiego wymaga nauka w rozmaitych klasach i rozmaitych porach dnia. Do eksperymentów swoich używał Wagner t. zw. metody Griesbacha, która oparta jest na takiem doświadczeniu: Jeżeli na jakieś miejsce na skórze postawi się dwa ostre końce cyrkla z miernym naciskiem, to człowiek wogóle odczuwa zazwyczaj dwa ukłucia, w razie jednak gdy oddalenie między oboma końcami cyrkla jest małe, wówczas odczuwa się jakby tylko jedno ukłucie. Ludzkie sensorium (centrum, w którem się zbiegają nerwy odbierające wrażenia) nie potrafi bowiem dokładnie rozróżniać wrażeń bliskich siebie czasem lub miejscem. Owóż Griesbach zauważył, że zdolność rozróżniania wrażeń, pochodzących z takich ukłuć, zależy nietylko od odstępu ostrzy cyrkla, lecz także od stopnia zmęczenia fizycznego, w jakiem się znajduje dany osobnik. Człowiek wypoczęty odczuwa ukłucie obu ostrzy pomimo małego ich odstępu, natomiast im człowiek bardziej zmęczony, tem większego potrzeba oddalenia ostrzy, aby odczuł ukłucie jako podwójne: jednem słowem zmysł dotyku jest dość dokładnym miernikiem zmęczenia.

Zastosowując tę metodę mierzył Wagner zmęczenie uczniów zapomocą odstępów ostrzy cyrkla jednak nie stopniowo zmniejszając je lub zwiększając, lecz próbując rozmaitych odstępów bez porządku, gdyż to daje jego zdaniem daleko dokładniejszy rezultat. Najrzeźwiejszy z uczniów potrafił odczuć odstęp ostrzy cyrkla wynoszący 5 milimetrów, natomiast największy odstęp, którego wskutek zmęczenia nie można było odczuć, wynosił 25 milimetrów, gdyż poza ten odstęp odczuwali ukłucie jako podwójne nawet najbardziej znużeni uczniowie. Interesującem jest następstwo przedmiotów nauki, według tego czy mniej czy więcej nużą. Otóż pokazało się, że przeciętnie najwięcej nużyła uczniów matematyka, potem łacina, greka, gimnastyka, historya, geografia, najmniej nużyła nauka religii.

A więc doświadczenia fizykalne stwierdziły w naukowy sposób to, co zresztą ogólnie wiedziano z pedagogicznego doświadczenia. Stwierdzono także, że bardzo uważni uczniowie więcej się męczą niż nieuważni, zdolni uczniowie mniej niż tępi — fakta, które również z praktyki są wszystkim wiadome. Uczniowie żywego, nerwowego temperamentu często męczą się zaraz z początku nauki, potem jednak prędko przychodzą znowu do siebie. Godziny gimnastyki a nawet godziny gier i zabaw nużą tak samo jak godziny nauki, i to szczególniej tych uczniów, którzy niechętnie biorą w nich udział. W końcu skonstatowano także, że nauka poranna jest bardziej hygieniczną niż popołudniowa, która, działając na uczniów bardzo nużąco, nie ma pedagogicznie żadnej wartości.

**Zmarli.** W Komarnie Aleksander Jakliński, ojciec posła dra Leona Jaklińskiego w 78 r. życia. We Lwowie Leon Lechicki, kontrolor poczt i telegrafów w 57 r. życia. — Wojciech Len, właściciel realności w 71 r. życia.

**Stan powietrza.** T. o g. 8 rano + 3 w poł. +3 R., Bar. 763 Spada. Deszcz.

**Rozwiązanie szarady** zawartej w Nrze 284 *Przeglądu* brzmi: klejnot. Trafne rozwiązanie nadesłali: Józef Chudzik z Bełza, W. Sieklucka z Kozłowic, Eugenia Remizowska z Niepołokowic, Franciszek i Izabela Dudzińscy ze Zbaraża, ks. Sz. Guzik z Bołszowiec, Malwina Sidorowicz z Chorostkowy; ze Lwowa: Marya Brzezińska, Tadeuszowa Krumpholtzowa, Marya Szechowicz, Gabryela Dült[illegible]a, Kazimiera Bartl, Julia i Władysław Padiak, Zofia Polakiewiczowa, Zofia Skibińska.

## SZARADA.

Gdy Bóg zesłał *pierwszą drugą*,
*Druga wspak i pierwsza cała*
Także swe znaczenie miała.
Druga z pierwszą wspak — gdy długo
Kto podobnych różnych rzeczy
I bez miary nadużywa
Często *trzecim czwartym* bywa.
Tajemnice ma w swej pieczy
*Czwarta i pół pierwszej. — Całość —*
Przedmiot dawniej bardzo w modzie
Do puszczania krwi, dziś w rodzie
Jest pamiątką. — Mam śmiałość kreślić się
*C . . .* Szcz . . . .

**Anegdota.**

Wielki Fryc pruski, dzielący swą miłość pomiędzy słynną laską a Volterem, wystosował raz do tego ostatniego następujący list w formie szarady:

$$\frac{p}{venez} \; à \; \frac{6}{100}$$

na co odebrał odpowiedź również w formie szarady:

G. a.

List brzmiał: Venez souper à Sanssouci. (Przyjdź na kolacyę do Sanssouci).

Odpowiedź zaś: J'ai grand appetit.

**Rzecz dzieje się na ślizgawce.**

— Pozwoli mi pani, panno Stefanio, przypasać sobie łyżwy?
— Dziękuję.
— Dlaczego? przecież wczoraj pani mi nie odmówiła tego szczęścia?
— Taak, ale później mamusia powiedziała, że pan Karol jeszcze nie ma żadnego stanowiska.

**Repertuar teatru.** Dziś w sobotę po południu „Panie kochanku“, komedya w 3 aktach J. I. Kraszewskiego. Dziś w sobotę wieczorem „Lohengrin“. W niedzielę po południu „Kozioł ofiarny“. W niedzielę wieczorem „Łucya z Lammermooru“. W poniedziałek po raz drugi „Bez pojedynku“. We wtorek po raz 1-szy „Dalibor“, wielka opera historyczna w 3 aktach a 6 odsłonach Józefa Wenziga, muzyka Fryderyka Smetany. We środę po raz 3-ci „Bez pojedynku“. We czwartek po raz drugi „Dalibor“.

# Literatura i sztuka.

**Z teatru.** Po kilku wesołych i lekkich komedyach, przedstawiono wczoraj z poważnej niemieckiej literatury sztukę, która i przez swoją literackość i z powodu silnie zaznaczonej tendencyi, zwróciła na siebie uwagę krytyki. Jest nią 3-aktowy dramat Artura Schnitzlera: „Bez pojedynku“. W roku zeszłym tego samego autora grano u nas z powodzeniem „Miłostki“.

Artur Schnitzler należy do zastępu najmłodszych autorów dramatycznych w Niemczech i obok Hauptmana przewyższa ich o całą głowę, nie tylko pisarskim talentem lecz głębokością i bystrem wpatrywaniem się w stosunki społeczne.

We wczorajszym dramacie Schnitzlera kwestya pojedynku stanowi niemal wyłączną treść. Autor zaprowadza nas do jakiegoś ogródka, w którym znajduje się prowincyonalny teatrzyk. W tym ogródku panuje niezwykły ruch, zamieszanie: jedzą, piją, śpiewają, dyskutują, flirtują i przez dłuższy czas nie wyodrębnia się żadna scena, żaden dyalog, dopiero później z przelotnych scenek i krótkich dyalogów dowiadujemy się, że jesteśmy w miasteczku kąpielowem, a ten ogródek i ten teatrzyk w nim, jest głównem miejscem zabawy i spacerów, zwłaszcza, że światek powabnych aktorek pociąga tu młodzież, a wśród niej dominują oficerowie pruskiej armii, którzy, jak wiadomo, rządzą się osobną polityką towarzyską, odznaczają się nadętą pyszałkowatością, a ze swoimi cywilnymi współobywatelami są w stosunkach naciągniętych, nie rzadko przykrych, prowadzących do poważnych zajść, które całe rodziny okrywają nieszczęściem i żałobą.

Coś podobnego dzieje się w utworze „Bez pojedynku“. Wśród artystek tego prowincyonalnego teatru, jest jedna, panna Riedel, która wyróżnia się dobrą reputacyą, choć jej to za złe ma dyrektor Schneider, bo utrzymuje, że takie postępowanie odpycha publiczność. Panna Anna, jednak, mimo niełaski dyrektora i uszczypliwych szykan zepsutych koleżanek, nie daje się skusić i pozostaje uczciwą dziewczyną. Ale nieszczęście chciało, że panna Riedel ściągnęła na siebie uwagę młodego, butnego huzara pruskiego, który zagiął na nią parol. Huzar ten jest uosobieniem awanturnika, o którym jego kolega powiada, że tacy ludzie powinni służyć w wojsku, ale podczas wojny, bo w zwykłych warunkach życia krzywdę społeczeństwu wyrządzają przez swój niepohamowany temperament i dzikie instynkta. W artystce Riedel, z początku podkochiwa się malarz Paweł Rönning — później, jednak, ten nieokreślony romans zamienia się w czyste uczucie miłości, a od tej, oczywiście, jest tylko jedna jedyna droga — do ołtarza, jeśli się ma do czynienia z uczciwym i honorowym mężczyzną. Takim właśnie, był Paweł Rönning.

Porucznik Karinsky wiedząc o tem wszystkiem, nie tylko nie pozostawia dziewczyny w spokoju, lecz atakuje ją tem bardziej i zakłada się z kolegami o szampana, że panna Riedl przyjdzie na urządzoną przez niego kolacyę. Panna Riedl na zapraszający list nie dała żadnej odpowiedzi, a gdy Karinsky udał się do niej z zaproszeniem osobiście, zamknęła mu drzwi przed nosem.

Przy zakładzie w ogrodzie był przypadkiem obecny malarz Rönning, a zaczepiony z tego powodu przez Karinsky'ego, po kilku drastycznych dyalogach, uderza porucznika w twarz, a obecni przeszkadzają natychmiastowemu odwetowi, który sobie Karinsky chciał wymierzyć szablą na głowie Rönninga. To wszystko dzieje się w akcie pierwszym, napisanym z dużym talentem, barwnie, naturalnie i z tym zmysłem spostrzegawczym, który na każdym kroku daje dowody, że autor umie czytać w duszach ludzkich i nieraz, w lot, jednym frazesem, albo urwanym dyalogiem rysuje najwyraźniej całą duchową fizyognomię człowieka. Akt drugi pod względem akcyi o wiele jest słabszy od pierwszego. Cały niemal poświęcony jest rezoneryi o pojedynku, przyczem dowiadujemy się, że Rönning stanowczo odmówił satysfakcyi Karinsky'emu, a na wszelkie przedkładania przyjaciół jest nieugięty, nawet wtedy, gdy dla ochrony honoru wojskowego Karinsky'ego proponują mu pozorny pojedynek.

Akt trzeci i ostatni stanowi rozwiązanie szybkie, jak błyskawica. W tym samym ogródku, gdzie miało miejsce wypoliczkowanie, Karinsky zabija z rewolweru Rönninga, wzywając go „po raz ostatni“ do przyjęcia pojedynku. Obecna jest przytem panna Riedel, która pada na zwłoki narzeczonego.

Wystawienie tego dramatu wymagało niezmiernie starannej reżyseryi ze względu na zbiorowe sceny. Z przyjemnością zaznaczam, że lwowska reżyserya stanęła wczoraj na wysokości wszelkich, choćby najbardziej subtelnych wymagań.

Schnitzler należy do tych nielicznych autorów, dramatycznych, który mimo całej wagi charakteru, jaki wciska w każdą główniejszą postać 2 dramata, nie obarcza artysty wielką rolą. Tak jest i w „Bez pojedynku“.

Dwie główne postacie: Paweł Rönning i porucznik Karinsky, działają zaledwie w kilku scenach, ale działanie ich jest szybkie i silne:

Malarza grał z dobrym dramatycznym akcentem przeplatanym rezonerską sofisteryą p. Hierowski, porucznika zaś odegrał z dużym zasobem uczucia p. Wostrowski, któremu jednak w scenach kulminacyjnych zabrakło dramatycznej siły, głównie z tego powodu, że p. Wostrowski jako talent jest lirycznym bohaterem i w tym też kierunku powinien być używany, jeśli talent aktorski ma się rozwijać naturalnie, a bez sztucznych naciągań w niewłaściwe strony.

Trzecią główniejszą rolę, Anny Riedel, grała z prawdziwą prostotą artystyczną p. Czaplińska, która w ostatnich czasach zanadto rzadko ukazuje się na scenie. Rezonerskie role doktora i drugiego porucznika Ronstaedta odegrali poprawnie pp. Jaworski i Wysocki

Z ról epizodycznych wyborną charakterystyczną grą wysunęli się na pierwszy plan pp. Ruszkowski, Feldman i Kliszewski *Iks Ypsylon.*

**Mapa dróg kolejowych i pocztowych monarchii Austro-węgierskiej** wyszła nakładem księgarni kartograficznej Artarii i Spki w Wiedniu I. Kohlmarkt 9. Mapa ta zawiera nietylko dokładny przegląd wszystkich sieci kolejowych Austro-węgierskich nawet tych które w ostatnim miesiącu powstałych, ale także kolei najbliższych części sąsiednich państw: Niemiec, Rosyi, Włoch a zwłaszcza północnych państewek, półwyspu bałkańskiego. Do mapy tej, dołączony jest dokładny spis wszystkich stacyi kolejowych uskuteczniony przez siły fachowe Przyda się ona, kupcom, wojskowym, urzędnikom, podróżnikom nietylko w biurze jako mapa ścienna lecz i podczas samej podróży jako przewodnik a to z powodu specyalnej formy, w której została wydaną.

# Ceny spirytusu.

Od wielu obywateli ziemskich otrzymaliśmy skargi na to, że znaczne są różnice w cenach spirytusu podawanych w *Przeglądzie.* Na te skargi odpowiadamy wszystkim interesowanym osobom co następuje:

W piśmie naszem umieszczamy notowania cen spirytusu lwowskiej Izby handlowej, Magistratu lwowskiego, Giełdy wiedeńskiej i Banku rolniczego we Lwowie, wymieniając wyraźnie, która instytucya ceny te ogłasza; odpowiedzialność za prawdziwość i dokładność cyfr pozostawiamy odnośnym instytucyom gdyż sami nie będąc w prądzie wielkiego handlu i obrotów finansowych, nie mamy możności kontrolowania tych notowań. Rozumie się jednak, że nie mogliśmy być obojętnymi na zażalenia naszych czytelników, których nierówność cen spirytusu w *Przeglądzie* umieszczanych w błąd wprowadza, a nawet na straty narazić może. Dotyczy to zwłaszcza cen podawanych przez Bank rolniczy z jednej, a przez Izbę handlową z drugiej strony; ceny Banku rolniczego stale są niższe od cen Izby handlowej, a różnica dochodzi do wysokości nieraz nawet 2 zł. Otóż udaliśmy się z prośbą do Banku rolniczego we Lwowie, ażeby sprawę tę wyjaśnił, na co otrzymaliśmy następujące pismo, które dosłownie podajemy.

„Odpowiadając na szan. zapytanie z dnia dzisiejszego donosimy, iż Izba handlowa zestawia ceny na podstawie informacyi, zasiągniętych u nas w Izbie kupieckiej a poprzednio także w Tow. handlowem. Przeciętną cenę notowań tych ogłasza następnie Izba handlowa w tut. dziennikach a to za *ubiegłe* 8 dni. Ztąd może być różnica *tylko mała* między ogłaszanemi przez nas notowaniami bieżącemi a notowaniami Izby handlowej, odnoszącemi się do czasu o 8—10 dni wcześniejszego. Główna różnica między cenami naszemi a Izby handlowej zachodzi tylko co do spirytusu, który Izba handlowa notuje *Loco Lwów*, wolne *od wszelkich kosztów* (*spesenfrei*) podczas gdy nasze notowania wyraźnie opiewają: *loco stacye* tj. fracht, ubytek w drodze ponosi odbiorca, który ma obowiązek dostarczyć cysterny do stacyi załadowania.

Stosownie też do oddalenia stacyi kolejowej od Lwowa ceny odpowiednio regulują się tak iż w przecięciu różnica w oddaleniu stacyj wynosi 50 ct. (15·25—15·75). Różnica zaś między notowaniami loco stacye a loco Lwów wynosi z powodów wyżej przytoczonych złr. 1 do 1 zł. 50 przy Hl.

Dodać musimy, iż właścicielom gorzelni znane są różnice między sprzedażą loco stacye a loco Lwów (wolny skład) i właśnie dla dokładnej ich informacyj podajemy ceny *ab stacya* a *nie lwowskie* co w notowaniach naszych wyraźnie zaznaczamy: „loco stacye kolei“ podczas gdy Izba handlowa notuje „we Lwowie“.

*Mikolasch.* m p., *Wilimowski* m. p.

# Część ekonomiczna.

§ **Ceny zboża. Wiedeń** 7 stycznia. Pszenica na wiosnę 11.85, żyto na wiosnę 8.86—8.87, owies na wiosnę 6.67—6.69, kukurudza na maj-czerwiec 5.60—5.62, rzepak 13.40—13.50.

**Spirytus** 18.20—18.40.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 7 stycznia.

Pomimo słabego usposobienia, jakie po Nowym Roku zyskało przewagę na targach zagranicznych, mianowicie w handlu terminowym, targ dzisiejszy na Kleparzu odbył się w usposobieniu stałem i dotychczasowe ceny wobec ograniczonego zaofiarowania utrzymały się w supełności,

Płacono: pszenicę białą 10.80—11·25, czerwoną 11.25—11·80, żółtą 11·25—11·75; żyto 8·55—8·90, jęczmień browarny 7.25—8·50, na kaszę 6·10—6·70, owies 7·00—7·50; rzepak —·— do —·—, konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł. Wszystko za 100 kilogramów.

*Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.*

**Sprawozdanie banku rolniczego.** Lwów 8 stycznia 1898.

Usposobienie niezmienne, ceny utrzymują się, ruch jednak ograniczony.

Z nasion koniczyna czerwona znajhuje łatwy zbyt, wykazując zwyżkę cen.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 11·— do 11·30, żyto gotowe 7·60 do 7·10, owies obroczny 6·80 do 7·10, jęczmień 6·25 do 7·50, rzepak 11·50 do 12·25, lnianka 0.— do 0·—, groch 6·75 do 9·—, wyka 5·50 do 5·80, bobik 5·50 do 6·—, hreczka 7·25 do 7·75, kukurudza nowa 5·25 do 5·50, kukurudza stara 0·— do 0·—, chmiel nowy za 56 kl. 30·— do 70·—, koniczyna czerwona 32·— do 42·—, koniczyna biała —·— do —·—, koniczyna szwedzka —·— do —·—, tymotka 14·— do 18·—, spirytus loco stacye kolei gotowy 15·25 do 15·75, spirytus na termina 14·25 do 14·50.

# Telegramy Przeglądu.

**Peszt** 8 stycznia. Sejm węgierski ukończył wczoraj drugie czytanie prowizoryum ugodowego. Dziś odbędzie się trzecie czytanie.

**Peszt** 8 stycznia. Sejm węgierski na dzisiejszem posiedzeniu przyjął prowizoryum ugodowe w trzeciem czytaniu, poczem przystąpił do obrad o uregulowaniu stosunku prawnego robotników rolnych.

**Praga** 8 stycznia. Mówią tu jako o rzeczy prawie pewnej, że sądy doraźne zostaną zniesione w dniu otwarcia sejmu.

**Wiedeń** 8 stycznia. Bilans Banku austro-węgierskiego za rok 1897 zamknięto. Dywidenda wyniesie 38 złr. 60 ct. od akcyi, t. j. 6·433%. Za kupon za drugie półrocze 1897 wypada 23 złr. 60 ct.

**Konstantynopol** 8 stycznia. Ambasada austryacka poczyniła u Porty ponowne kroki w sprawie przewlekania procesu ajenta „Lloyda“ w Mersinie Brazzafolliego i rozmaitych nieprawidłowości.

**Konstantynopol** 8 stycznia. Urzędownie zaprzeczają doniesieniom pism, wychodzących w wilajecie Kossowskim, jakoby wielu tamtejszych mieszkańców przyjęło islam.

**Madryt** 8 stycznia. Rada ministrów postanowiła wytoczyć jenerałowi Weylerowi śledztwo za jego niegodne z przepisami wojskowemi zachowanie się. Tą uchwałą zażegnane zostało przesilenie gabinetowe, na które się zanosiło.

## HOTEL „RÓŻA“

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 8 stycznia. F. hr. Korytowski, W. hr. Dzieduszycki, W. Garapich, dr. Rutowski, K. Wierzchleyski, Landau, Ex. Brudermann, Cieński, A. Dufrane, Łastawiecki, M. Komorowski, Drohanowski, Nowakowski, Cielecki, Hartman, Jekowicz. J. Jabłonowski z Zagwoździca.

## HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON

*Lwów — Plac Maryacki.*

Przyjechali dnia 8 stycznia. JExcelencya Schwitzer, JExcelencya A. Jaworski i S. Kohn z Wiednia. H Biesiadecki z Zarzyszcza. J. Turek z Stryja. L. Skarbek Borowski z Laszek. St. Chojecki z Rudek. F. Battistello z Tryjestu.

## HOTEL IMPERIAL.

*pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.*

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 8 stycznia. K. ks. Puzynina z księżniczką z Narola. W. Malczewski z żoną z Krakowa. M Smoleński z Skałatu. B. Bogucki z Żywca. E. Rościszewski z Iwonicza. K. Gołębski z Szumlan. Ks. S. Gromnicki z Buczacza. E. Detkens z Podola ros. Onufry Mokrzycki z Tyflisu.



**Lwów** 8 stycznia. (Z Izby handlowej).

**Akcye** za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 212.00 do 214.00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 292 — do 296.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 385.— do 395.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 262.— do —.—.

**Listy zastawne** za 100 zł.: Banku hipot. galic, 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem. 110.20 do 110.90. 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100.70, 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97·30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·— do 98.70, 4 proc. los. w 48 i pół latach 97.30 do 98·—, 4 proc. los. w 56 lat 96.60 do 97.30.

**Obligi** za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98·—98.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·75 do —.—, Kom. Banku kraj 5 proc. (II emisyi) 100.30 do 101.00, Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do 98.20, Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—. 4 proc. z 1891 r. 97.90 do 98.60, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.40 do 97.10.

**Monety.** Dukat cesarski 5.64 do 5.74 Napoleondor 9.48 do 9.53. Półimperyał 9.48 do 9.[illegible]8. Rubel rosyjski papierowy 1.26·75 do 1.27·75 100 marek niemieckich 58.60 od 59.—.

**Wiedeń** 7 stycznia. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 357.50, węgierskie akcye kredytowe 387·00, anglobanku 163.00, bankvereiny 262.50, unionbanku 300.50, laenderbanku 222·25, staatsbahny 345.25, lombardy 80.75, elbethale 264.25, akcye tytoniowe 132.50, rima 253.00, alpiny 146.20, renta majowa 102.65, renta koronowa węgierska 99.75, losy tureckie 1.670, marki 58.85, ruble 126.25.

27)

# BEZ BOGA

(THE MIGHTY ATOM)

przez

## MARYĘ CORELLI.

Przetłómaczyła z angielskiego Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

„Czy zechcesz, mój dobry, kochany Boże, pomyśleć o tem mojem strapieniu i radę znaleźć? Ja sam nigdybym nie potrafił. Bo człowiek sam, o własnej mocy, nic zrobić nie może, chyba umrzeć, jak mu źle na świecie.

„Tam na niebie, w które teraz spoglądam, jest mnóstwo światów, większych od naszego — a są tam zapewne i ludzie i oni może teraz modlą się do Ciebie, tak jak ja. Ale jeśliś jest Bogiem, to umiesz czytać w myślach każdego swojego stworzenia.

„Wszędzie na świecie tyle cierpień i smutków — ja na to patrzeć nie mogłem i wierzę, że to musi mieć jakąś głębszą przyczynę i cel piękny.

„Nikt mi tego celu nie chciał wytłómaczyć — ani ojciec, ani nauczyciele — a może tylko nie umieli. Więc przychodzę do Ciebie po wyjaśnienie wszystkich moich zwątpień

„Jestem dopiero dzieckiem, ale nie chciałbym wyrość na mężczyznę, nie rozumiejąc, dlaczego żyję.

„Tyle mnie uczono rozmaitych rzeczy, że mi się zrobił zamęt w głowie i choć czuję, że istniejesz, ale nie jestem tego pewien. Więc muszę się przekonać, a nie ma na to innego sposobu.

„O Ty, kimkolwiek jesteś, Ty, któryś stworzył wszystkie gwiazdy, i słońca, i góry, i morza i wszystkie lasy, i ptaszki i kwiaty — idę do Ciebie. Jeżeli żadne z Twoich stworzeń nie ginie, to i mnie nie pozwolisz się zagubić.

„Znajdę Ciebie, gdziebądź jesteś. Ten świat mnie strachem przejmuje, ale Ciebie nie boję się wcale.“

Te słowa, szeptane cichutko, brzmiały namiętną prośbą i smutkiem bezbrzeżnym.

Lionel umilkł, patrzył w gwiazdy i słodko się uśmiechał do świata nieznanego, żegnając znany bez żalu.

Wreszcie wstał, krokiem pewnym przeszedł przez pokój; przy szarfie, zwieszającej się z gwoździa, stanął, podniósł oczy w górę, zawahał się, ale trwało to krótko. Potem drzwi na klucz zamknął i poważnie, bez trwogi odszedł w nieskończoność zagrobową, na poszukiwanie Boga, którego okrucieństwo wychowańców pozbawić go chciało.

Stuk przewróconego krzesła zamącił ciszę, potem zaległa jeszcze większa, tajemnicza, uroczysta... Przez otwarte okno wszedł cichy powiew, w ciemności coś zaszeleściało — może anioł, o którym Jaśminka opowiadała kochanemu „Lili“, musnął go teraz skrzydłem, a może po jego duszę spłynęła ona sama, już jako anioł z Nieba...

## ROZDZIAŁ XV.

Złoty poranek zaświtał, taki, jakie bywają tylko wczesną jesienią, gdy barwa dojrzałych zbóż zda się przesycać powietrze i nadawać cieplejszy ton przyrodzie. Od morza szło świeże, ożywcze tchnienie. Nawet Valliscourt, tak obojętny zazwyczaj na czar natury, w dniu tym, zeszedłszy na śniadanie, kazał otworzyć drzwi z jadalnego pokoju na balkon, aby wpuścić jak najwięcej powietrza; wchłaniał je pełną piersią, po raz pierwszy w życiu rad z ogólnego nastroju świata.

Zabierał się właśnie do śniadania, gdy na progu jadalnego pokoju stanęła Łucya, zapłakana i oznajmiła głosem drżącym, że „pokój master Lionela pusty, że łóżko nawet nie ruszone, a drzwi od szkoły na klucz zamknięte.“

— O! panie, ja się boję, temu kochanemu robaczkowi coś się stało — mówiła, zanosząc się od płaczu — bo to on w ostatnich czasach był jakiś niezdrów.

— Kto był niezdrów? Co się stało? — pytał profesor Cadman-Gore, który w chwili tej wszedł do jadalni.

Valliscourt zwrócił się do niego.

— Podobno Lionela nie ma — rzekł, a na twarz występowały mu plamy sine i usta drgały gniewem, czy też obawą — pokojówka powiada że nie spał wcale w łóżku. Zapewne... — błysk wściekłości w oczach mu zapłonął — zapewne poszedł za przykładem matki i uciekł.

Przyszły mu na myśl słowa z listu żony: „Krew moja płynie w żyłach chłopca — on się już buntuje — wcześniej czy później ucieknie.“

Twarz miał w tej chwili straszną.

— Cóż znowu! zaprzeczył profesor — onby tego nie zrobił, ma wysokie poczucie honoru i godności osobistej. Może zasnąć nie mógł i wyszedł na spacer — dzień taki piękny... nie byłoby w tem nic złego.

— Łucya powiada, że drzwi od szkoły zamknięte — rzekł Valliscourt.

I zwracając się nagle do pokojówki, spytał:

— Z zewnątrz, czy ze środka? Czy klucza w zamku nie ma?

— I owszem, klucz tkwi: drzwi zamknięte od środka To właśnie jest dziwne. Pukałam, dobijałam się, wołałam, ale wszytko na nic... O mój Boże, master Lionel zapewne zemdlał, a dostać się do niego nie można. To okropne!

Płakała rzewnie.

— Pójdę zobaczyć! — zawołał profesor — znam te drzwi, zamek stary — łatwo go wysadzić. Dajcie mi tylko młotek i coś ciężkiego.

Powłócząc nogami, o ile mu sił starczyło, biegł przez korytarz, Valliscourt szedł za nim. Łucya przybiegła niebawem, prowadząc z sobą ogrodnika z młotkiem i innemi narzędziami, które się mogły przydać.

— Lionelu! — zawołał profesor.

Nie było odpowiedzi — przez otwarte drzwi sieni doleciało tylko ćwierkanie ptaszka z ogrodu. Profesor, tknięty nagle jakiemś okropnem przeczuciem, z którego sam sobie sprawy zdać nie mógł, spojrzał na Valliscourta.

— Możeby pan stąd odszedł — szepnął — kto wie, czy nie stało się istotnie co złego?

Valliscourt był blady, silił się na uśmiech

— Nie ma powodu do obawy — odparł — to jakiś fortel dla osłonięcia ucieczki. Nic dziwnego, jaka matka — taki syn. A co za przewrotność! Zamknął drzwi, żeby nas w pole wyprowadzić, a uciekł przez okno. Naturalnie, że tak być musi!

Profesor, przy pomocy ogrodnika, drzwi podważał. Zamek był istotnie stary, zardzewiały i nie mógł silnego naporu wytrzymać; drzwi stanęły otworem.

Rozległ się przeraźliwy okrzyk Łucyi.

— Mój Boże, mój Boże! — wołał profesor, w przerażeniu swem wzywając wyższą istotę, której istnienia przeczył — Valliscourt nie wchodź... odejdź... Nie patrz... Chłopak się zabił!

Ale Valliscourt wpadł za nim do pokoju. Stanął oniemiały... spojrzał w górę i zobaczył rzecz okropną, nad którą aniołowie niebiescy łzy ronią — samobójstwo dziecka!

Wątłe ciałko zawisło na ścianie dębowej — uczepione na turkusowej szarfie, barwa jej była delikatna i deseń piękny, jednak wstęga obejmowała tę chudą szyjkę mocno, w nieubłaganym, śmiertelnym uścisku.

I to jego syn, syn, w którym takie ambitne nadzieje pokładał, którego umysł kosztem zdrowia i sił fizycznych rozwijał, aby go uczynić znakomitym, sławnym, nie dla dobra chłopca lecz dla zadowolenia własnej ambicyi i próżności.

Jego syn? ten mały wisielec... Valliscourtowi się zdało, że słyszy głos żony: „Krew moja płynie w żyłach chłopca — on się już buntuje — wcześniej czy później ucieknie.“

Tak, słowa jej sprawdziły się — uciekł na zawsze.

Valliscourt, jak przez sen, słyszał płacz Łucyi — widział jak profesor z pomocą ogrodnika odcinał szarfę, ostrożnie zdejmował zwłoki i na ziemi je składał... potem — szukał tętna serca, które już dawno bić przestało i przykładał lusterko do ust chłodnych, zaciśniętych, usiłując dojrzeć słabe bodaj tchnienie.

Ale napróżno. Lionel skutecznie przeciął nić żywota — zanurzył się w Wielką Niewiadomą, nie można go już było z tej drogi zawrócić.

— Mój Boże! — jęknął znowu profesor. — Że też doszło do tego!.. Biedne, biedne dziecko!

Wreszcie Valliscourt przemówił głosem urywanym, ostrym:

— Czy — już — zupełnie zastygł? Czy z pewnością nie żyje?

— Z pewnością! To okropne!. Łucyo, nie płacz tak — ja tego słuchać nie mogę — pomóż mi złożyć go tutaj — na sofie. O tak! Mój Boże! co za nieszczęście! Takie dziecko — nie to coś strasznego... Valliscourt, żal mi cię serdecznie — to był chłopak niepospolity, szlachetny!

Profesor odwrócił się, aby łzy swoje ukryć — Łucya, tonąc w nich szczerze, krzyżowała rączki na piersiach i zamykała powieki.

Na martwej twarzy był już anielski spokój.

— Chwilowy obłęd, nic innego — zawyrokował wreszcie Valliscourt głosem bezdźwięcznym — to się wśród dzieci nawet zdarza.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka hotel Żorża. Zarządca W. Hodak